

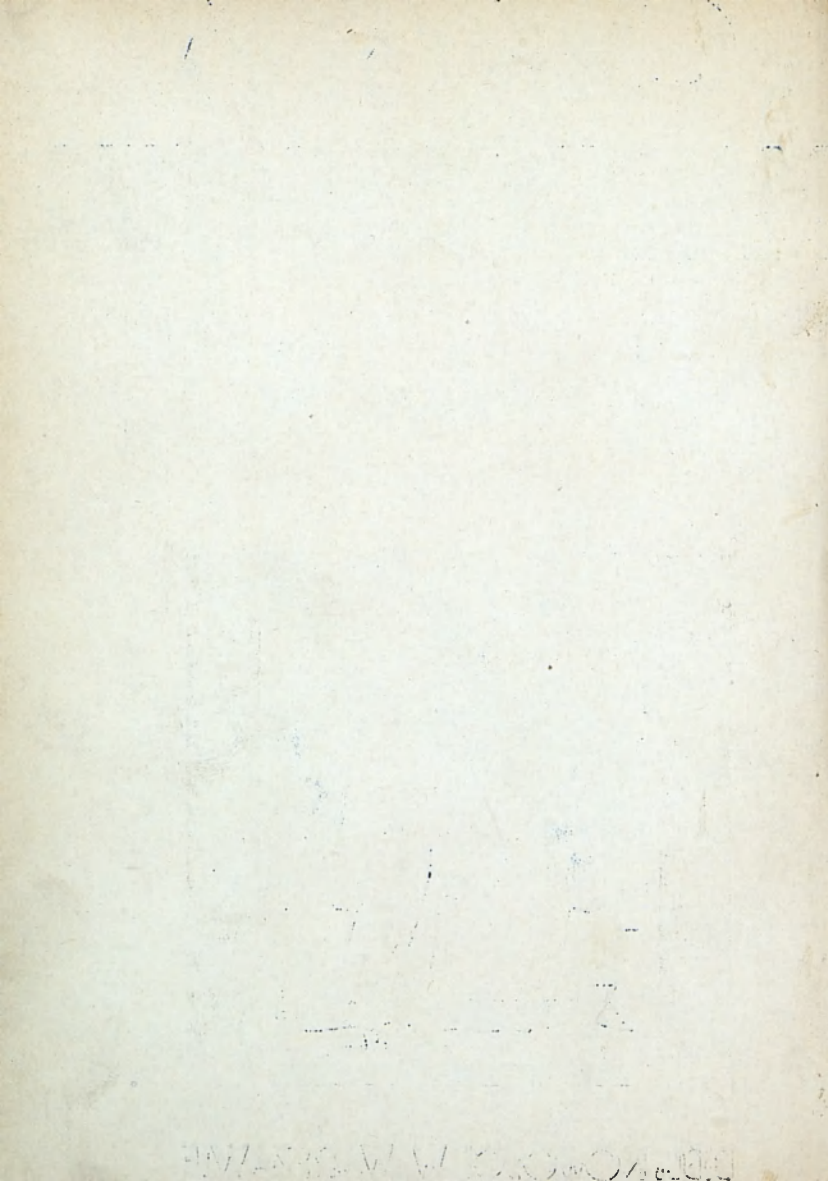
CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ

**L E W
URWANCEW**



BIBL. NOWOŚCI W WARSZAWIE

ZŁ. 1. 25



CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ

BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Redakcja i Administracja

ulica Krakowskie Przedmieście 93.

Konto w P. K. O. 13355. Tel. 275-03.

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Kwartalnie (6 tomów) 5.50 zł.

Półrocznie (12 ") 11 zł.

Rocznie (25 ") 20 zł.

Prenumerata w oprowie z przesyłką poczt. wynosi:

Kwartalnie (6 tomów) 9 zł.

Półrocznie (12 ") 18 zł.

Rocznie (25 ") . 33 zł. w ratach 35 zł.

Książka wychodzi 15-go i 30-go każdego miesiąca

№ 43

Redaktor i wydawca: Stanisław Cukrowski.

Tom II.

L. URWANCEW

CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ

POWIEŚĆ

W TRZECH TOMACH.



BIBLIOTEKA NOWOŚCI W WARSZAWIE

Wydawca: Stanisław Cukrowski.

LP II 8 d 2 b

165438

I

Przekład autoryzowany Edmunda Jezierskiego.



Zakłady Graficzne A. Szlachowicz i S-ka,
Warszawa, Nowolipie 11. Telefon 321-71.

1. W piwnicy.

Siostra była tak zdumiona moją wizytą, że nawet nie poszła mnie odprowadzić, a pozostała w salonie. Pożegnałem się z Anną Wasiljewną i zacząłem schodzić ze schodów. Wyszedłem na ulicę. Szedłem, jak zwykle, powoli. Tymbardziej, że nie miałem się gdzie spieszyć. Ściemniało się. Gdźieniegdzie zapalili elektryczność. Nakleili jakieś obwieszczenie. Akurat około lampki. Przeczytałem je i poszedłem dalej.

Posłyszałem za sobą miękkie, spieszne kroki. Ktoś się spieszył. Ciężko oddychał.

— Kola!...

Odwrociłem się — siostra!

— Kola!... Ty jesteś mi bardzo potrzebny... Musimy koniecznie z sobą porozmawiać. Ach, jak ja się obawiałam, że ty odejdiesz, i że już więcej ciebie nie zobaczę... Przecież nie wiem twego adresu. A ja muszę... muszę koniecznie z tobą pomówić..

Była jak w gorączce. Oglądała się z przerażeniem, patrzyła na mnie. To szła w pobliżu mnie, jakby zupełnie wypadkowo przechodziła obok mnie, to podchodziła blisko.

— Nie odchodź... Na miłość Boską pozostań... Boże!... Gdzież byśmy mogli porozmawiać? Tu na-

O początkowych losach naszych bohaterów P.T. Czytelnik dowie się w książce p. t. „Jutro o świcie“.

wet zaułka niema... Mnie mogą zobaczyć... Co robić?...

— Idź za mną...

— Nie... nie... Co ty?... Ja muszę prędko wracać. Zdziwią się, gdzie poszłam... Ja przez kuchnię tak się przemknęłam, że mnie Anna Wasiljewna nawet nie zauważyła... Lecz ja muszę ci tak dużo powiedzieć, a tu nawet niema gdzie... Boże! Boże! Co robić?...

— Dlaczego ty się tak boisz?

— Ach, ty nic nie wiesz... U nas tak surowo... Nasza sytuacja bardzo ciężka...

— Lecz przecież wy wszyscy tak dobrze się urządziliście?...

— Ty tak o tych jarząbkach?... To wypadkowo... Powiedz, a skądś ty wiedział, że u nas dziś będzie Mansurowa?... Zresztą, to nie ważne... Ach!...

Siostra zatrzymała się.

— Chodź za mną, lecz z tyłu... Wiem, gdzie będziemy mogli porozmawiać...

Zawróciła. Spiesznie poszła znów w stronę swojego domu. Nie spuszczałem jej z oczu. Weszła do bramy. Na podwórzu czekała mnie.

— Kola... Tam w kącie... na podwórzu jest piwnica. Tam kłocę złożyli... I tam je piłują. Tam teraz nikt nie wejdzie...

— Znakomicie.

Przeszliśmy w kąt podwórza. Dwa stopnie prowadziły w dół do drzwi. Zasypane śniegiem. Dostał się on i do piwnicy. Ciemno. Poomacku znaleźliśmy złożone kłocę. Usiedliśmy.

— No więc co, Kola... Ach, ja tak dużo muszę ci powiedzieć. Nie wiem, od czego zacząć... tak się wszystko płacze w głowie... Wszak myślałam, że ciebie już oddawna niema wśród żyjących... Myśmy ciebie często wspominali. Lecz obawiali-

śmy się nawet głośno wymawiać twe imię. Ciebie szukają... Zresztą, to nie to... Nie. Byliśmy pewni, żeś ty zabity. Pamiętasz, wtedy.

— Nic nie pamiętam.

— Lecz o tem potem... Ot co, Kola, czyżeś ty się nie wyrzekł? Czyż ty chcesz znów? To szaleństwo. Mówię ci, że nie uda ci się nic zrobić. Dobrze wiem o tem... W czrezwyczajce tak znakomicie jest postawiony wywiad...

— Tyś mi chciała powiedzieć coś bardziej ważnego?

— To nawet bardzo ważne... Lecz oto, jeżeli ty mnie dasz słowo, że ty więcej...

— Żadnych obietnic dać ci nie mogę...

— Nie mów tak... Zaraz ci dowiodę, że tylko możesz zaszkodzić..

— Nie trzeba, Lida...

— Lecz jeżeli dasz mi słowo, że porzucisz swe zamysły, powiem ci, gdzie jest Józef.

Drgnąłem

— A, więc tyś mnie oszukała.

— Lecz sam zaraz się przekonasz, że inaczej nie mogłam ci powiedzieć.

Dobrze, że było ciemno i nie widziałem twarzy siostry.

Kłamała!

— Ty mi powiesz, gdzie jest Józef bez żadnych warunków.

— Tak... tak... Ma się rozumieć, powiem, lecz tylko... Ty wiesz, że wszystkich, którzy należeli do spisku, szukają... Przedewszystkiem zaś Józefa. Ciebie uważają za zabitego... To ja tak powiedziałam... Wołodia wpadł wypadkowo... Jego podczas rewizji zabili...

— Wiem.. Jego zdradziła ich kucharka, Ma-szka...

— Ty wszystko wiesz...

Siostra w rozpaczy łamała ręce...

— Wszystkich aresztowali i rozstrzelali... wszystkich co do jednego... To dla mnie się dowiedziała Lela... Józef uciekł... Ocalony cudem. On zawsze był bardzo zręczny... I oto posiadają oni wiadomość, że tam był jeden oficer... Nie mogą dowiedzieć się nazwiska jego, ani natrafić na ślad...

— Sieroża?

— Milcz, na miłość Boską.. Jeżeli dowiedzą się, zginął... I my wszyscy zginiemy...

— A więc dlaczego ty tak lękasz się spotykać ze mną?...

— Jakiś ty, Kola, dziwny... Oprócz tego Sieroża tak jest oddany...

— Więc to tak?...

— On jest ideowiec... daje się porwać sprawie... Mówi, że koniecznem jest stworzenie armji... O nim słyszał już sam Trockij... Na Sierożę zwrócono już uwagę... Ty, Kola, tego nie rozumiesz...

— Nie, Lida, ja wszystko rozumiem...

Siostra jeszcze bardziej zaniepokoiła się. Poszukała mojej ręki. Znalazła ją i mocno uściśnęła.

— Ty wiesz, ja ciebie zawsze bardzo kochałam... Więcej, niż Józefa... Myśmy się z sobą tak przyjaźnili...

— Rozumiem... rozumiem... Dla ciebie bardzo niebezpiecznem jest spotykanie się ze mną... To może zaszkodzić Sieroży w jego karierze...

— Pocóż tak, Kola... Jabyś chciała, żebyś się urządził... Żył dobrze...

Żył dobrze...

— Z jaką przyjemnością zjadłbym teraz jarząbka...

Siostra cofnęła rękę. Rozplakała się.

— Słuchaj, Lida, ja cię dobrze rozumiem. Lecz ani ty mnie przekonasz, ani ja ciebie... Ty moją ideę uważasz za szaleństwo. Opierasz się na tem, że ja zawsze byłem dziwakiem. Niech i tak będzie. Ja patrzę na czyn Sieroży i Leli, jak na odstępstwo, jak na zdradę ojczyzny. Nigdy z tobą na tym punkcie nie dojdziemy do porozumienia i na tem skończymy. Daję ci słowo honoru, że o naszym pokrewieństwie nikt nie będzie wiedzieć. Niczem was nie skompromituję. Tymbardziej, że tu mieszkam pod obcym nazwiskiem.

— Ach Kola... Kola!...

— Teraz mi powiedz, gdzie jest Józef?...

Siostra milczała.

— Lida, ja tego żądam!..

— On... On pracuje na kolei żelaznej...

— Na jakiej?...

— Na Mikołajewskiej.

— Ty mnie nie oszukujesz?

— Słowo honoru.

— Jako?..

— Smarowóz... Więcej nic nie wiem...

— Pod jakim nazwiskiem?

— Jak Boga kocham, Kola, nic więcej nie wiem...

— Więc dobrze. Wierzę ci. Jeżeliś oszukała mnie lub ukryła cośkolwiek, niech to obciąży sumienie twoje...

— Nie... nie.. Przysięgam ci na Bogarodnicę...

Chciałem iść. Siostra zatrzymała mnie. Schwytała mnie za chałat.

— Poczekaj... poczekaj. Jeszcze jedno słowo... Ty nas pilnujesz?...

— Nie.

— A jakieś się dowiedział, że u nas dziś będzie Ksienia Mansurowa?

Roześmiałem się.

— Bardzo proste. Wczoraj widziałem, jak jeździli samochodem.

— To, zdaje się, bardzo dobra rodzina?

— Widocznie. Mansurowy—stary ród szlachecki. To wszystko, coś mi chciała powiedzieć?..

— Poczekaj minutę... poczekaj. Usłyszę, kiedy Sierioża przyjedzie. Ma swój samochód... W rzeczywistości należy on do Gawryły Anisimycza...

— A to jeszcze kto taki?..

— Mąż Leli... Wiesz, oni bardzo dobrze żyją. On taki miłośnik rodziny... Oni wszyscy teraz mają... no... wiesz?..

Mimowoli westchnąłem. Ból ścisnął serce.

— Ech, Lida, Lida... Boisz się głośno powiedzieć słowo „kochanka”. Jak jeszcze mocno tkwi w tobie dawne twoje wychowanie. Słowo to uważane było nie tylko za nieprzyzwoite, ale nawet wymówienie go było czemś strasznym. No cóż?.. Rad jestem, że jest szczęśliwa...

— Lala stara się go wykształcić... i nauczyć dobrych manier... Odbywa z nim lekcje francuskiego... I jacy oni zdolni!.. Ot, żebyś ty Kola tak bliżej z nimi się zetknął, zobaczyłbyś, co to za ludzie... Tak są oddani...

— Nie para twemu mężowi, generałowi Połozowowi, którego oni... ci oto Gawryły Anisimycze rozstrzelali...

Siostra chciała coś powiedzieć. Jakoś dziwnie poruszyła się i zsunęła się z drzewa na podłogę. Nachyliłem się. Zemdlała. Podniosłem ją. Przytuliłem. Chciałem ogrzać. Głaskałem ją po głowie. Przyłożyłem rękę do czoła.

— Ciężko, Lida... Bardzo ciężko. Nie mnie, a tobie...

Siostra ocknęła się, Ciężko oddychała. Schwytała moją rękę i pocałowała ją...

— Kola... a ileś ty przeżył?

— Ja?... Absolutnie nic. Jak nigdy jestem rzeźki, spokojny. I otwarcie ci powiem: w duszy mojej czuję się tak dobrze. I jasność...

— Ty o sobie nic nie powiedziałeś.

— Ja o sobie nic nie wiem... Słowo honoru... Jakim się znalazł na Syberji, dotychczas zrozumieć nie mogę. Co ze mną się działo?...

— Czyżbyś nie wiedział?

— Opowiedz. To ciekawe...

— Również ściśle nie wiem. Mnie mówił Smielkow.

— A on gdzie?

— Rozstrzelany. Razem ze wszystkimi...

— Bardzo go lubiałem...

— Tak więc, Kola... Szedłeś ulicą Jamską...

— Tak... tak... To przypominam sobie.

— Tam wybuchła walka. Chwyтали dawnych oficerów, którzy ukryli się w jednym z domów... I, widocznie, ciebie ktoś w głowę i silnie pobił... Leżałeś bez przytomności. Znalezione cię potem w piwnicy pobliskiego domu. Byłeś zupełnie nieprzytomny. Wtedy odesłano cię do szpitala. Do prywatnej lecznicy dla umysłowo chorych... O wszystkim tem dowiedziałam się potem, a kiedy atakował Judenicz, lecznicę tę ewakuowano... Jak mówiono, wsadzili wszystkich do wagonów i wywieźli... Gdzie, nawet nie wiem... A co się działo z tobą dalej?

— Nic nie pamiętam, Lida... I tu przyszedłem w zupełnej malignie. Przyszedłem tu przed kilku dniami.

- POCO? — z przerażeniem spytała siostra.
- Odszukać brata Józefa...
- Lecz jak ty go znajdziesz?...
- Po brodawce...

W pobliżu nas rozległa się trąbka i warczenie samochodu. Jeszcze mocniej przytuliła się do mnie. Zamilkliśmy.

Słysząc było, jak samochód zatrzymał się przed bramą. Głosy głucho rozlegały się pod sklepieniem bramy.

— Nieporządek! Drzwi frontowych w żaden sposób nie mogę otworzyć.

— To mąż Loli, — szepnęła mi siostra.

— A tak, ma się rozumieć... Ja to dobrze rozumiem... Jaka u nas publiczność!... Wstyd powiedzieć... Idą ulicą, zobaczają frontowe schody otwarte. Szwajcara niema, więc oni zaraz na frontowe i urządzają się tam... Śmierdzi na cały dom. Zeszłym razem kazałem towarzyszom sprzątnąć... Cały dzień byli zajęci. Szorowali, szorowali, a wciąż pachnie...

Wstawił słowo nie zupełnie odpowiednie dla słuchu nie tylko mojego i siostry, lecz i Sierozy i Leli i Ksieni Mansurowej...

Czy jest ona z nimi?

— Tutaj, panienko, proszę przejść...

Aha! Z nimi.

— Ta Ksienia bardzo ładniutka — rzekłem.

Towarzystwo przeszło, jak usłyszeliśmy, do wejścia na schody kuchenne. Głosy ucichły.

Siostra wstała. Po omdleniu była jeszcze słabą. Zachwiała się. Wziąłem ją za rękę. Zrobiliśmy razem kilka kroków.

— Teraz sama dojdę. Żegnaj...

Zatrzymała się. Popatrzała mi uważnie w oczy. Cicho pobłogosławiła mnie.

— Tylko, Kola, nie na złą sprawę błogosławię

cię. Niech cię ocali Przenajświętsza Macierz Boża.

— Żegnaj, Lida.

Pocałowałem siostrę w rękę. Uściskaliśmy się.
Żegnaj...

Rozstaliśmy się. Niespostrzeżenie doszedłem do domu. Niania krzątała się jeszcze przy sprzątaniu pokoi. W pokoju ojca djakona ktoś był.

Stróż?...

— Bądźcie zupełnie pewni, ojczy djakonie... Jeżeli trzeba co pomódz, ja zawsze z przyjemnością...

Stróż uklonił się i wyszedł. Ojciec djakon siedział nachmurzony. Kiwał głową.

— I co się z nim stało, w żaden sposób nie rozumiem... Sam przyszedł do mnie. Jeżeli, mówi, pomoc potrzeba, to ja z wielką przyjemnością...

W każdym prawie człowieku jest magazyn. Co chcesz, to i kupisz. U jednych tania wyprzedaż, u innych żądać trzeba.

— Innym mi zawsze wydawał się człowiek. Dożyłem do starości, a okazuje się nie znałem ja człowieka... Choćby ciebie wziąć za przykład... Ktoś ty?... Mnie się zdaje, że nasi święci tacy sami byli przedtem, jak ty... Dlaczego ty do klasztoru nie wstąpisz? Tam dla ciebie najodpowiedniejsze miejsce... Chodzisz i dobro rozsiewasz... A gdzie?... Nie pozwala się to teraz mówić, a ziemia nasza przeklęta... Na przeklętej ziemi o jednym tylko i myślisz. Krwią naszą ziemia cała przepojona. I jaką?... Szczerze, prawdziwie rosyjską. Prawosławną, czystą... I musi z niej wyrosnąć coś wielkiego...

Westchnął. Pomilczał. Chciał myśl swą skończyć dla siebie, w głębi duszy. Lecz nie wytrzymał.

— Ot dziś spotkał się ze mną jeden pan. Wkrótce, mówi, koniec wszystkiemu będzie. I przede wszystkim, mówi, pogromy będą. Wszystkich

żydów wyrzną. A mnie lęk przejął... Jak to ta nasza ruska ziemia tą krew przyjmować będzie. Z jaką się zmiesza? Z carską? Z krwią Kornilowa...

Naraz machnął ręką. Odwrócił się.

— A, nie będziemy o tem mówić... Nie chce się... A i ślub złożyłem milczeć... I dobrze! W milczeniu jest moc, a w słowach pustka.

Na nieszpory poszliśmy we troje. Umyślnie stanąłem w pobliżu wejścia. Strój mój obowiązywał mnie do tego. Stopniowo poczęli zbierać się nabożni. Zdziwiło mnie troszkę, że dnia tego zebrało się ich więcej, niż zwykle.

Wszedł w ciemnem ubraniu, bardzo podartem, duchowny. Lecz bez krzyża na piersi. Staął obok mnie i wyciągnął rękę. Każdy, kto wchodził, mimowoli zwracał na nas uwagę. Dawali nam jałmużnę. Brałem również jałmużnę i kłaniałem się.

— Czego, ojcie, dziś tak dużo ludzi? — spytałem cicho.

— Rano w gazetach zamieszczony był spis zabitych. W te dnię zawsze ludzi więcej bywa.

Stałem spokojnie, wiedząc napewno, że nikt z moich znajomych nie przyjdzie do cerkwi. Lecz omyliłem się w rachubach swoich. Zobaczyłem, że przyszedł Ładnow. To mnie zdumiało.

Dziwne. Ładnow zęgnął się. Ostrożnie przekradłem się na prawo i stanąłem za kolumną. Tak, ażeby mnie nie widział.

Maszka z Iwanem Terentjiczem!... To cud!... Maszka, jak większość prostych kobiet, zęgnęła się szybko i zaraz biła pokłony. Ubrana skromnie. Na głowie miała czarną włóczkową chustkę.

Odprawiał nabożęństwo ojciec Aleksander. Przedtem bywałem często w soborze Nikoły Morskęgo i pamiętałem ojca Aleksandra. Lubiałem jego sposób odprawiania nabożęństwa. Było w nim

dużo szczerości, prostoty i głębokiej wiary. Miękki głos jego głośno i wyraźnie rozlegał się w cerkwi. Przy ubogim duchownym stanęła żebraczka z okaleczoną twarzą. Jako psalmista był jeden doktor. Nie przepuszczał ani jednego nabożeństwa. Wszystko umiał na pamięć.

Przedtem, zanim chór powinien był zaśpiewać „Królu niebieski, Pocieszycielu“, ojciec djakon stanął przed ołtarzem, twarzą do modlących się i zaśpiewał sam, dając znak ręką.

Wszyscy modlący się podchwycili i zaśpiewali.

Po nabożeństwie wyszedłem z cerkwi razem z ubogim duchownym. Spytałem go o coś. Wskazał ręką na gardło. Ledwie dosłyszalnie rzekł:

— Niema głosu...

Furtka do ogrodu dla czegoś wbrew zwyczajowi była otwarta. Zauważyłem, że na ławce siedziała postać niewieścia. Wydało mi się, że to Mansurowa. Wszystkie pieniądze, jakie otrzymałem od modlących się, wsunąłem szybko do ręki ubogiemu duchownemu i skierowałem się do Mansurowej.

Przywitałem się.

— Cóż pan? obiecał pan zejść do mnie... — rzekła z lekką wymówką.

— Obawiałem się

— Jaki pan... dziwny. Pan był w cerkwi?... A ja nie mogę się modlić. Nie doszłam... Siedziałam tu. Usiadłam i tak pozostałam. Nie wiem dlaczego myślałam o panu. Z nikim nie rozmawiam. A właśnie z panem chciałabym bardzo pomówić. Zaprosiłabym pana do siebie. Córką dziś gdzieś wyjechała... I obiadu nie gotowałam. Dziś u mnie nic niema. Nawet herbaty...

— To, ma się rozumieć, głupstwa...

— Lecz pan po niesporach pewnie zmęczy się. Napewno, chce pan herbaty.

Uśmiechnąłem się.

— Przyznaję się. Bardzo chcę. Oto co pani proponuję? Pójdziemy na herbatę do jednej staruszki. Pani ją zna. Tam i porozmawiamy. Nam nikt nie przeszkodzi?

— Lecz co pan?...

— Niech mi pani już zaufa.

— Jakaż to staruszka?...

— A niania księżniczki.

— Al... Myślałam o niej, gdzie się podziała.

— Będzie bardzo pani rada.

Mansurowa zgodziła się.

Zdumiewające, jakie niekiedy bywają nieprawdopodobne zbiegi wypadków. Po niesporach chciałem udać się prosto do domu. Lecz mnie zainteresował ubogi duchowny. Oprócz tego, dawno już zdecydowałem się oddać mu zebrane przezemnie pieniądze. Wyszedłem za nim poto, ażeby odprowadzić go do bramy ogrodzenia. I potem zaraz powrócić do domu. Niania, wiedząc, że i ojciec djakon i ja z cerkwi, napewno, przyjdziemy do domu na herbatę, wszystko przygotowała. Nakryła do stołu, nalala wody do samowara, nakładła węgla. I wtedy dopiero uspokoiła się, kiedy wszystko zostało przez nią zrobione.

Kiedy zastukałem do drzwi i niania mi otworzyła, nie odrazu poznała Mansurową. Potem ucieszyła się. Chciała nawet pocałować ją w rękę.

— Pani... droga. Jakżeż to pani?...

— Oni mnie namówili...

Zmieszała się. Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

— Paweł Wasiljewicz, — odpowiedziałem.

— Oto Paweł Wasiljewicz namówił mnie, aże-
bym was odwiedziła.

— Jakżeż dobrze to obmyślił.. Oto już do-
brze...

Ojciec djakon wyszedł ze swego pokoju zo-
baczyć, kto przyszedł.

— Państwo, zdaje się, znają się?..

— Tak. Mam tą przyjemność. Proszę uprzej-
mie. Paweł Wasiljewicz panią i herbatką poczęstuje.

— A dlaczego nie wy, ojczye djakonie? —
z uśmiechem spytała Mansurowa.

— To wszystko jego dobrodziejstwo... On nas
żywi. Taką zupełnie umie gotować, że nawet mnie do
grzechu doprowadził. I co to za człowiek, w żaden
sposób pojąć nie mogę.

Niania przyniosła filiżankę. Samowar przy-
dźwigałem ja. Umówiliśmy się z nianią. Ona nigdy
nie będzie nosić samowara. Ciężko dla niej, a dla
mnie głupstwo. Z trudem zgodziła się. Zaprosiliśmy
na herbatę i nianię. Usiąść razem z nami nie chciała.
Usiadła znów, jak przy księżniczce, na boczku i piła
herbatę oddzielnie. Rozmawialiśmy o zmarłej księż-
niczce. Przypomnieliśmy jej rodzinę.

— Bywałam u nich. Znałam całą rodzinę.

— A córka pani gdzie?..

Mansurowa zbladła, lecz siłą woli zapanowa-
ła nad sobą.

— Zaproszona na obiad.

— Eh, — westchnęła niania i pokiwała głową:
czy nie do marynarzy znów?

— Nie...

— Widziałam ją.. Z marynarzami się bawiła.
I jak to pani jej nie powstrzyma.. Czyż daleko do
grzechu... Dziewczynka jeszcze mała. Nie mądra.
A im co?... Czy prosta jaka, czy z rodziny szla-
checkiej...

— Nie, powiedziała, że zaprosił ją jakiś tam Połozow.

Jak dziwnem było mi słyszeć, kiedy wymawiali nazwisko tak dla mnie osobiście blizkie. Nazwisko mojej siostry.

— Jam o Połozowych słyszała. To bardzo szanowna rodzina. Sam Połozow rozstrzelany. Pozostała wdowa z synem i córką... Oto oni i zaprosili Ksienię...

— No to dobrze... Tylko żeby nie z marynarzami miała znajomości.

Ojciec djakon, po wypiciu dwóch szklanek herbaty, wstał.

— Wy gdzie? — spytałem.

— Być może, porozmawiać chcecie, to ja do ojca Aleksandra przejdę. Z nim sobie porozmawiam.

Powiedziałem, że my możemy przejść do sąsiedniego pokoju, do mnie, lecz ojciec djakon postawił na swoim. Poszedł. Niania przeszła do kuchni.

— Tylko nie będziemy rozmawiać o drobiazgach życia osobistego. Kto pan jest—mnie wszystko jedno. Skarżyć się panu na moją dolę nie chcę. I nudne i niema po co. Tylko małoduszni ludzie skarżą się, dopóki nie osiągną pomyślności. Jestem matką. Byłam szczęśliwą, że mam dziecko. A teraz—to mój smutek. Mój wyrzut, że nie umiałam jej wychować. Ksienia mówiła mi, że pan grywa na wieczorach na fortepianie. Opowiadała, jak pan jej bućki zawiązywał... to pan niepotrzebnie... Wyśmiewała się z pana.

— Mnie wszystko jedno...

— Nie wiem, nawet nie będę pana dopytywać, jak ona się zachowywała na tych wieczorach. Ja już dosyć wycierpiałam. Niech pan mi powie,

Pawle Wasiljewiczu, dlaczego pan jest mi tak blizki?... Co pan mi powiedział wtedy w cerkwi, na pogrzebie księżniczki. Wszak to maligna?... Pan był w jakiejś dziwnej ekstazie... Mówił pan o pomniku hańby... O tem, że ja, matka, winnam zbawić ojczyznę. Jakaż jam matka, kiedy w jedyną córkę swoją nie mogłam wpoić najbardziej zasadniczych pojęć o honorze, o obowiązku... o prostej przyzwoitości? Długo rozmyślałam nad pańskimi słowami... Niech pan się nie gniewa... Lecz to była maligna...

— Ja i teraz powtórzę pani to samo...

Siedziałem naprzeciwko Mansurowej. Słuchałem jej w milczeniu. Wnikałem w każde jej słowo. Mówiła poprostu. Właśnie, jak z blizkim człowiekiem. Patrzała jasnymi, szczeremi oczyma.

— Jaka pani jest mi bliska.

Popatrzała na mnie i naraz uśmiechnęła się. Widocznie, przyszła jej do głowy dziwna myśl,

— Uczuвам paniczny lęk na widok nierozumnych, epileptyków, obłąkanych, lecz... dlaczego pan uważa siebie za nierozumnego?..

— Ja dopiero teraz dowiedziałem się, dlaczego zostałem takim...

— Tak! W pańskim życiu musiało zajść coś bardzo wielkiego?..

— A mnie się zdaje, że, gdyby nie to, wszystko jedno byłbym takim. Sen posiada swoją logikę i swój sens. Lecz ja budzę się tym, czem byłem wczoraj. Chociaż sen, jako widzenie, miał pewien wpływ na mnie... Mój mózg jest chory. Wiem o tem. Myślę, czuję, jakby rozumnie, lecz nie mogę mózgiem swoim określić, czy myśl moja jest prawidłowa?... Uświadamiałem sobie, że jestem bezsensownie ubrany. Wszyscy ze mnie się śmiali... I ja razem z nimi... Marzyłem o ogoleniu się

o ubraniu w smoking. Lecz wtedy ja będę myśleć inaczej, a tego nie chcę. Nie powiedziałbym pani tego, com powiedział w cerkwi, gdybym był w smokingu... A teraz mówię wszystko, co chcę... I mnie łatwiej. Lecz kiedy powiem: czas! Kiedy nabiję rewolwer i pójdę tam, gdzie mnie wzywa obowiązek... O!... Wtedy ja najpierw wezmę kąpiel... włożę śnieżnej białości bieliznę... Zawiążę wytworny krawat... Ogołę brodę. Uczesze mnie najlepszy fryzjer... Uperfumuję się... Wstawię w oko monokl... I właśnie tak ubrany, pójdę na mój czyn... Nie powiem wrogowi ani słowa... O, nikt nie usłyszy odemnie piorunującej mowy, demaskującej go od stóp do głów... Nie. Mowa zbyt cicha. Spotkam się z nim i, odstąpiwszy o dwa kroki, wsadzę mu kulę w łeb... I niech wejdzie ona do jego mózgu, jak kamień, rzucony w rzadkie błoto...

— Paweł Wasiljewicz! Pan majaczył...

— Nie. Mówię zupełnie rozumnie. I zrobię to dla pani.

Mansurowa wstała. Błada. To nie strach spędził rumieniec z jej twarzy. Nie знаła strachu... Mogły go przeżywać tak nikczemne istoty, jak moja siostra. Lecz nie Mansurowa. To była moc... Mansurowa była rzeźbą tej kobiety, która utraciwszy wszystko w życiu, wszystkie najbliższe istoty, stała na stosie trupów, kości, czaszek i wysoko trzymała ręką, złożony palce w znak krzyża.

— Boże! Ja przecierpiałam wszystkie próby, jakie mi zesłałeś.

— Zobaczysz wielką radość... Tyś odnalazła Chrystusa i tobie wręczam berło i koronę. Przed tobą pochyli się w pokłonie ludzkość, która przez twe cierpienia pozna Boga.

Wzięłam ją za rękę.

— Niech pani mnie posłucha. Tak trzeba było... Tak trzeba, ażeby wszystkie cierpienia przeżyła pani... Pani jeszcze dużo przecierpi, zanim ludzkość opamięta się...

Uważnie, jakby badając twarz moją, patrzała na mnie. Widziałem, że toczy się w niej wielka walka. Rozumiała, że ta minuta była decydującą. Przemówiła miękko i jednocześnie z mocą. Spojrzenie jej hypnotyzowało mnie. Przenikało w głąb mej duszy. Zrozumiałem, że teraz siła była po jej stronie. Podałem się tej jej myśli.

— Niech pan siada... Będziemy mówić spokojnie. Z namysłem. Raz pan zaufał mi to, czego nie powierzył by samemu sobie, konieczne jest rozważyć wszystko... Ja muszę wiedzieć wszystko... Jeżeli to szal, jeżeli to pańskie majaczenie, wprost powiem panu, jak człowiek zdrowy, powiedziała-bym „obcy“, lecz nie jest zupełnie tak. Jak pan doszedł do tej myśli?...

Opowiedziałem Mansurowej o naszym spisku jeszcze przed moją chorobą, o tem, jak mnie znaleziono w piwnicy i wysłano z chorymi do innego miasta.

— Leżałem. Nie wiedziałem nawet w jakim mieście. Błysnęła we mnie świadomość. Boże! Ja nie mogę rozróżnić świadomości od majaczenia. Dlaczego ja nazywam tą chwilę świadomością?... A dlatego, że przypominałem sobie brata. Jeżeli ja wytracony z szeregów, znaczy się, on sam idzie na naszego wroga. O, on nie cofnie się przed dopięciem nakreślonego przez nas celu. Znam go... tam... Lecz ja muszę mu pomóc. Muszę wystąpić obok niego... Nie dopuszczę, ażeby sam zginął... Widziałem, że pozostaliśmy samotnymi. Nasza grupa zmniejszała się... Jednych łapali i zabijali, inni przechodzili na stronę wrogów. Lecz niech tam...

Niech my pozostaniemy sami... O, to dla nas nie straszne. Z nami jest prawda. Z nami jest nasza Bogarodzica!.. Zwiastunka prawdy... Jeżeli na całym świecie myśmy pozostali tylko we dwóch, to my mimo wszystko będziemy walczyć. Kilka wystrzałów i wróg padł. Jakąż ma wartość bezmyślny tłum bez tych nielicznych, którzy stworzyli hasło: „Niech zła moc zapanuje nad prawdą... Wszystko pozwolone“!.. To, co teraz się dzieje, jest wyraźne. Mówić o tem nie będę. To wszystkim wiadome... I oto w tym celu, ażeby rzucić na ziemię wspólnego wroga, przyszedłem tu. Tu odnajdę swego brata i...

Dalej nie mogłem mówić. Znow mózg mój zamącił się... Znow zupełnie jakby wiedźmy w czarnych kapotach, coś szepcząc, przenikły do mego mózgu... schwytałem się za głowę oburącz, ścisnąłem ją mocno, oparłem rękoma o stół. Nie wiem, czy mówiłem, czy myślałem...

— Lecz potrzebny mi jest pewnik, że idę drogą normalną. Że jeżeli zabiję wroga, to na miejscu tem nie powstanie pustka... Kto... kto ocali ojczyznę?...

Jak widno... To gwiazda świeci... Doprowadziła do złobka, gdzie urodził się Chrystus. Stała nad nim ze swoim żalosem obliczem. I artysta odtworzył te rysy twarzy... Te oczy... Maria Dolorosa... Nie! To nieznany artysta... To mnich... Siedział w swej celi i malował obraz. Malutki, owalny... Wykończył go starannie... Na malutkiej, owalnej deseczce... Suknia i w koło obwódka... Ktoś go kupił... zawiesili na ulicy... Tam na rogu Sadowej. I ludzie przechodzili obok niego. Wielu widziało tylko wielki obraz. A malutki obrazek z obliczem Bogarodzicy nie wszyscy widzieli. Tylko wybrani... I promień wskazał mi na niego. Wielki

obraz rozbili. Wyciągnęli drzewo... Dla nich było ono drzewem. Spalili je. Rozpalili w piecu, ażeby pierożki, które robiła Maszka, zarumieniły się... Do pieca, ona, Maszka, rzuciła ikonę.. A, być może, zrobił to Iwan Terentjicz... Czy wy wiecie? Byli w cerkwi i modlili się... Zresztą, ja nie to mówię. I ja szedłem do tego światła... I ja znalazłem malutki, owalny obrazek.. A.. Kto więc będzie zatem podporą moją?... Ten obraz... Ta twarz żałosna!.. Boć przecież to matka!.. W niej zbawienie ojczyzny. Lecz poco ona przyszła na zabawę marynarzy?... Po córkę... Uroniła swą łzę na progu... A tam córka weseliła się. Wśród strasznych ludzi. Ręce ich są zielone... w lepkiem zielonem błocie... Ręce te wyrzucały bohaterów ojczyzny przez burzę... One wyrzuciły Marusię przez okno. One zabiły staruszkę księżniczkę...

Przyszła niania i ojciec djakon. Do łóżka położył mnie mieszczuch. Nachylił się i swoją bródką łaskocze mnie po twarzy. Obtyka ze wszystkich stron koldrę. Żeby nie wiało i żebym się nie przeziębiał.

Czyżbym był chory? Co?...

A czerwonogwardziści poszli?... Przychodzili po to, ażeby kolbami karabinów bić mnie. Jeden mocno uderzył mnie w głowę...

Mówilem, ażeby dać im jarząbków. Wtedy oni nie biliby mnie. Chleba?... Dajcie chleba. Kupicie ich... Wszystko można kupić...

— A tobie, mieszczuchu, ile dać?...

— Nic.

— Kłamiesz, mój drogi... uczciwych ludzi nie ma. Jeden jest uczciwy aż da srebrnych dwóch grzywien... ten do rubla. Tego nie przekonasz, jeżeli nie powiesz: stol... Jak pan myśli, łysego pre-

legenta nie kupi się? Ohol... On za śledzia po-
biegnie do marnarzy...

— Towrzyszel...

— Nie. O jaki on był szczęśliwy, kiedy akto-
rzy otrzymali carskie podarunki i jemu dano spin-
ki i szpilkę do krawata. Oto tego, długowłosego,
nie kupisz. Siwego?... Pan jest śmieszny. On sam
pierwszy przyszedł sprzedać się. Będę, mówi, pi-
sać, co zapragniecie... Lecz hrabiego nie podkupi-
cie... setkami. Walcie tysiące. Jemu tysiący potrze-
ba. Ile tylko same trzewiki jego kosztują. On kie-
lich poświęcany pod łóżkiem postawił. A ty, prze-
klęty mieszczuchu, ty za grosz będziesz podeszwy
ich lizać... Śmieszne, doprawdy?...

Mieszczuch usiadł na brzeżku mego łóżka.

— Ty im nie pieniądze dawaj, a cud pokaż...

— Cud, ty mówisz?... A toć popatrz wokoło.
Czyż ty nie widzisz cudów?... Wniknij w życie.
Przyjrzyj się mu. I zobaczysz cud... Toż wszystko
cud... Wszystko!... Ojcie dżakonie, czyż to nie pra-
wda?... Ot pomódlcie się i zaraz spełni się cud...
wszyscy na kolana!... Oto przed tym obrazkiem.

A! I Ładnow uklęknął. Toś ty wyrzucił Ma-
rusię z okna. I ty, coś przyjął wiarę żydowską...

Droga Ksienia... No co, poprawiłaś teraz swój
bucik? Dobrze. Uklęknij i ty... Uklęknij...

Więc tak jest... Czyż to nie cud?... Ojciec dja-
kon, niania i Mansurowa modlą się do Boga. A wy...
popatrzcie, do kogo wy się modlicie!...

Śmiałem się. Oni klęczeli. Była z nimi i Masz-
ka. I komisarz. I on przyszedł... I jeszcze...

— Wy popatrzcie dobrze... Toż przecie por-
tret tego jegomościa, który wyście sami powiesili
w sali. Kędzierzawe włosy, ściśnięta, jak u idjoty,
głowa, spłaszczona zgóry do dołu, i czarna bródka
sterczy naprzód...

— Lecz precz. Wyście mi się sprzykrzyli... Nie dla was tu miejsce.

Pozostała ze mną tylko niania, Mansurowa i ojciec djakon.

Mieszczuch znów przyszedł. Przyniósł mi gorącej herbaty. Położył na głowę mokry ręcznik. Zmusił do zjedzenia kawałka chleba.

— Nie mogę więcej.

Było mi bardzo ciężko leżeć. Wogóle nie byłem chory. Dlaczego położyli mnie do łóżka? I wszyscy wyszli.

Momentalnie zerwałem się z łóżka, ubrałem się. Włożyłem znów swój chałat watowany, kołpak i wyszedłem na ulicę.

Silny mróz. Wczoraj spadł śnieżek, a teraz zimno. Wkrótce, napewno, śnieg tajać pocznie. To ostatni mróz. Schwytał tak tylko. Ażeby powiedzieć, że zima jeszcze walczyć będzie z wiosną. Chociaż sam wie, że będzie musiał ustąpić. Przyszedł tylko, jak mówią chłopci, dla przyzwoitości.

Chyba przejdę na dworzec Mikołajewski i tam poszukam brata Józefa?

Lecz ciemno. Wieczór czy noc?..

Najlepiej będzie na dworzec iść jutro. Tylko trzeba się przebrać. Włożyć ten kostjum, o który mi się wystarał Iwan Terenfjicz.

Lecz jak ja będę szukać Józefa? Jeżeli on tam pracuje w charakterze smarowozu, to, napewno, często wyjeżdża do Moskwy. Nie wiesz, ani jego nazwiska, ani ściśle określonego stanowiska. Tam tych smarowozów jest mnóstwo.

Siostra jednak dowiedziała się o nim. Być może, nie wszystko powiedziała. Już w samym początku skłamała. Przysięgała, że potem powiedziała prawdę.

A jak się ona bała!.. Co, jeżeli by tak znów zająć do niej i rozpytać się o brata?..

Ta myśl spodobała mi się. Postanowiłem tak zrobić. Napewno, siostra wstaje wcześniej, ażeby iść do sklepu i stanąć tam w kolejce. W tym czasie właśnie trzeba ją złapać... A tymczasem oczekiwac...

Poszedłem przez Oficerską. Tak jest bliżej. Ciemno. Ludzi niema. Ani jednego człowieka.

— Stój!..

Odwróciłem się. Podszedł do mnie milicjant. Karabin na postronku.

— Gdzie idziesz?

— A tak.

— Czy nie wiesz, że w nocy zabronione jest chodzić?

— Nie wiem. Dopiero niedawno przyszedłem do Petersburga.

— Paszport jest?..

— Jest. Tymczasem papier z urzędu.

— Przeczytaj.

Usłuchałem. Przeczytałem.

— A tyś prawidłowo przeczytał, co tam jest?

— Prawidłowo.

— No, idziemy...

— Gdzie?..

— Dowiesz się.

Poszliśmy razem. Milicjant milczał. I ja nie chciałem nic mówić. Myślałem nie o tem.

Wprowadzili do jakiegoś domu. Do mieszkania na pierwszym piętrze. Za stołem siedział człowiek w czarnej kurtce. Były jeszcze dwie — trzy osoby. Jacyś dziwni ludzie.

— Kto taki?..

— Muzykant.

— Jutro rozpatrzemy. Niech do rana tam posiedzi.

Ktoś do mnie podszedł, wziął za rękę. Wyprowadził z pokoju na korytarz. Przeszliśmy na sam koniec. Pchnął szpicem buta drzwi, silnem uderzeniem pięścią w plecy wepchnął mnie do ciemnego pokoju. Natychmiast zamknął drzwi. Słyszałem, jak zzewnątrz zatrzasnął zamek. Słyszałem oddalające się kroki.

Zacząłem rozglądać się. Nic a nic nie widać. Wyciągnąłem ręce naprzód. Zrobiłem krok. Jeszcze... Oparłem się o ścianę. Macając po niej, doszedłem do kąta. Ruszyłem po drugiej ścianie. Nic niema: ani ławki, ani krzesła...

Wydało mi się, jakby w pokoju ktoś się znajdował. Ktoś jakby oddychał... Przy samych nogach moich. Nachyliłem się.

Polizał mi rękę.

A, piesek.

Pogłaskałem. Małutki, gładki. Na bardzo wysokich, w porównaniu ze wzrostem, nóżkach. I mordka spiczasta. To nie zwykły kundel podwórzowy. To, widocznie, bardzo rzadkiej rasy...

Na portrecie Katarzyny Drugiej wymalowana jest przy jej nogach charciczka. To właśnie taki sam piesek.

I jaki łagodny.

Jakim sposobem znalazł się tutaj?

Obszedłem wszystkie ściany. Szurając umyślnie nogami, pokręciłem się po środku pokoju.

Z początku usiadłem na podłodze. Piesek wskoczył mi na kolana. Chciał pocałować mnie.

Cokolwiek rozpiąłem swój chałat.

— Eh, podły piesek... Wie, gdzie mu będzie ciepło. W tym pokoju zimno, jak w piwnicy.

Położyłem się na podłodze. Piesek wlaź za pazuchę. Wysunął tylko koniuszeczek mordeczki.
Dobrej nocy!..

2. W nowem ubraniu.

Spałem, jak zabity. Bez snów. Jeżeli coś i widziałem we śnie, to do rana zapomniałem.

Wydawało mi się, że ktoś otworzył drzwi. Zabrzęczał zamek. Do ciemnej jamy komórki, gdzie spałem, wsunęła się głowa.

— Jest tu kto?..

Nie zdążyłem wstać i odpowiedzieć... nie zdążył piesek zaszczeakać, gdy głowa znikła.

Piesek zawarczał. Poglaskałem go. Uspokoił się. Nie wypuszczając go z rąk, wstałem. Wyrzależem na korytarz. Nikogo!..

Spokojnie przeszedłem przez korytarz. Drzwi.. drzwi... Cały szereg drzwi. Jedne z nich otwarte. W jednym pokoju ktoś siedział przy stole i mocno spał. W innych było wielu ludzi, Przeszedłem obok.

Przy bramie siedział milicjant. Obejrzał mnie.

— Z nocnych?

— Tak.

— Badali?

— Tak.

— Paszport pokazywałeś?

— Tak.

— Wypuścili?

— Tak.

To cztv „tak“ zaspokoili go w zupełności.

— Więc zatem idź!

Tego rana byłem w szczególnie dobrem usposobieniu. Nie wiem dlaczego, lecz było mi wesoło. Cieszył mnie piesek. Tak odrazu przywiązał się do

mnie. Często z zapazuchy wysuwał swoją drobnutką mordeczkę i chciał mnie polizać po twarzy. Zrozumiałem, że noc nas zbliżyła i staliśmy się przyjaciółmi. Odszedłszy daleko od komisarjatu, puściłem go na ziemię. Biegł za mną.

Szedłem do dworca Mikołajewskiego.

Oto i Newski. Poznać go było trudno. Pomimo czerwone chorągwie i szmaty, wszędzie nawieszane, i przeróżne napisy i plakaty, były to domy martwe, zmarłe w ubóstwie. Przybrały nawet specjalny zapach rozkładu, zgnilizny. I na ulicy zupełnie jak na cmentarzu. Na cmentarzach ludzie zawsze chodzą z smutnemi twarzami, milczący, pochmurni. Chodzą zupełnie, jak na palcach, mówią szeptem, jakby obawiając się obudzić nieboszczyków. Tacy ludzie szli i przez Newski. Każdy coś dźwigał, zupełnie jak mrówki z pyłkami w przednich łapkach. Szyldy przypominały napisy w muzeach. Tu niegdyś było to, tam to. Notariusz, dawno rozstrzelany. Bank, zamieniony teraz na składy lub na nowy urząd. Kupiec, handlujący niegdyś ikonami i wyrobami złotymi, teraz umierający z głodu.

Pomnik imperatricy Katarzyny Drugiej. Podczas pierwszych dni rewolucji ktoś wlaźł na pomnik i w rękę statuy wetknął czerwony sztandar. Teraz materja zgniła, wiatr ją rozwiał, a kij pozostał.

Przy pałacu Anickowa stała staruszka w starej jedwabnej salopce. Ktoś pchnął mnie w rękę. Odwróciłem się. Młoda dziewczyna. Prosta, rumiana, z uśmiechem na całą szerokość twarzy.

— Jak się masz, babciu.

Staruszka podniosła głowę i przyglądała się. Nie mogła poznać, kto ją zawołał. Lecz również uśmiechnęła się.

— Jak się masz, — rzekła, mrużąc oczy.

Dziewczyna popatrzała na mnie. Roześmiała się głośno.

— To jest frejlina. Księżna. Przedtem mieszkała w pałacu. Konie swoje miała. Bardzo bogata starucha była...

I dziewczyna poszła naprzód.

Szynami tramwajowemi kroczyła milicjantka. W ciemnej krótkiej sukni, w bluzie dość ciepłej i berecie. Przez ramię wisiał na sznurku karabin.

Na spotkanie moje szedł jakiś jegomość. Popatrzał na nią, potem na mnie. Uśmiechnął się złośliwie.

II.. Jedna pozostała... Wszystkie pozostałe podzielili...

Przy dworcu Mikołajewskim działo się coś nieprawdopodobnego. Bezładnie tłoczył się na jednym miejscu tłum. Jedni wyłazili z tłumu, inni wtłaczali się. Krzyki. Wymysły. Skargi.

— Ach, szubrawcy... Sól mi odebrali. Pół roku zbierałem. Chciałem wymienić na co. Przywiozłem. Odebrali...

W jednym miejscu tłum utworzył, jakby lej. Na mnie nikt nie zwracał uwagi. Naciskali, pchali, z jakichciś powodów wymyślali. Mimowoli dostałem się w wir i poddałem się tłumowi. Przerzucał mnie z miejsca na miejsce. I ja dostałem się w ten lej. W sam środek.

Stała babą. Zawodziła. Przy niej sianie. Na nich ktoś leżał. Nieboszczyk!.. Prawie nagi!..

— Zostawiłam tu sianie z trumną i nieboszczykiem... Wiozłam męża na cmentarz Wołkowski. A sama musiałam zejść na dworzec. Kum jest tam stróżem. Powiedzieć mu, że mąż umarł... Kuma nie znalazłam. Wróciłam. A trumnę przez ten czas

ukradli. Nieboszczyka tak rzucili... Przekłęci. Jeszcze się prawosławnymi nazywają..

Na podwórze dworca Mikołajewskiego puszczali wszystkich, lecz wypuszczali tylko po ścisłej rewizji.

— Gdzie iść? Gdzie szukać brata?..

Pieska w tłumie o mało co nie zgnięti. Trzymałem go wciąż za pazuchą, lecz nas tak ścisnęli, że, gdyby nie to, że puściłem w ruch łokcie, sam bym mógł ucierpieć..

Puściłem pieska na ziemię. Zatrzymał się również i czekał, patrząc na mnie, gdzie pójdę..

Dobrze rozumiałem, że znaleźć brata byłoby wielkim cudem. Gdzie mogą być smarowozii? Może wypadkowo przejść przez podwórze. Lecz nie w tej chwili, kiedy ja przyszedłem go szukać? Poszedłem wzdłuż długich magazynów. Chodziłem bez celu po szynach, po podwórzu, między budynkami. Tak... spotykałem wielu pracujących na kolei. Lecz czyż mogłem dopytywać się ich, wskazując tylko na jeden znak — brodawkę na policzku.

Jedni przechodzili obok mnie, nie zwracając żadnej uwagi na mój dziwny kostjum, inni przyglądali się i, przeszedłszy kilka kroków, oglądali się.

Zaszedłem gdzieś daleko. Złożone belki, na wysokość o wiele większą od wzrostu ludzkiego. Zmęczyłem się. Oparłem się o belki i patrzyłem w głąb podwórza. W oddali poruszali się ludzie.

Wydało mi się, czy nie? Ktoś z tyłu poza mną coś mówi? Z tyłu? Lecz tam bezgraniczne szeregi belek.

— Boże! Bogarodzico, orędowniczko, zmiłuj się nad nami... Zachowaj nas przed wszelkim wrogiem... Pomóż nam, Królowo niebieska. Daj pokój

wieczny duszy monarchy naszego, męczennika, zamordowanego Mikołaja... Boże!.. Boże!..

Ktoś się modli. Głos męski. Nie starczy...

Obawiając się przestraszyć modlącego się, ostrożnie odszedłem od belek i skierowałem w drugą stronę podwórza.

Chciałem koniecznie zobaczyć twarz modlącego się. Z oddali oglądałem się czy nie wyjdzie kto z przejścia między złożonemi w stosy belkami.

Doczekałem się. Wyszedł ktoś i ostrożnie oglądając się, zrobił kilka kroków. Potem, przekonawszy się, że nikt go nie widział, poszedł spiesznym krokiem wzdłuż podwórza. Lecz twarzy nie udało mi dostrzedz. Był cały ciemno ubrany. Nie dojrzałem nawet, czy miał brodą. Znikł...

Dziwne. Pociągnęło mnie do tego miejsca, gdzie się modlił. Tu nie było nikogo, i swobodnie i spokojnie podeszedłem do belek. Między belkami bardzo wązka przestrzeń. W moim szerokim wutowanym chałacie przedostać się nie było bardzo łatwo. Co chwila zaczepiałem się o sęczki. W końcu tego wązkiego korytarza było coś w rodzaju celi. Przestrzeń nie większa nad dwa arszyny, zamknięta ze wszystkich stron. Na ścianach wisiały portrety cesarza Mikołaja II i następcy tronu. Od śniegu arkusze te pożółkły i zmięły się. Na wystającej belce leżał wielki krzyż drewniany, i nad nim wisiał obraz Matki Boskiej w miedzianej sukience.

Wylaźłem znów ostrożnie i znów bez celu zacząłem chodzić po olbrzymiem podwórzu.

Kilkakrotnie spotykałem jednego i tego samego kolejarza. W mundurze. W okrągłej kolejowej czapce barankowej. Podejrzliwie spoglądał na mnie.

Usiadłem na jakiejś skrzynce. Zdecydowałem,

że najlepiej będzie tak czekać. Będę patrzeć na przechodzących obok mnie. I odpocznę i, być może, prędzej osiągnę cel. Piesek wskoczył mi na kolana.

Człowiek w mundurze kolejowym kilkakrotnie przeszedł obok mnie. Zauważyłem, że naraz jakoś stanowczo skręcił na chodnik i znikł na ganku domu. Nie przydawałem temu żadnej uwagi. Siedziałem spokojnie.

Naraz wyszło z domu z kolejarzem trzech ludzi. Jeden był z karabinem. Uderzając mocno obcasami o drewniany chodnik, podeszli do mnie.

— Coś ty za człowiek?..

Ze zdziwieniem na nich popatrzyłem. Co oni ode mnie chcieli? Wzruszyłem ramionami.

— Człowiek, jak człowiek.

— Kto taki?..

— Muzykant.

— Paszport jest.

Wyjąłem swój dokument, wydany mi przez komisarza. Przeczytali. Zaraz zwrócili.

— Po co tu?

— A oto na jednego przyjaciela czekam. Powiedział, że go tu zawsze znajdę.

— Kto taki?..

— Po twarzy go poznam... Razem z nim jechałem... Służy tutaj. A kto taki — nie spytałem się dobrze. Nazwisko powiedział, lecz zapomniałem... Nazywają Iwanem.

Uwierzyli. Nawet zaczęli ze współczuciem dopytywać się. Najwięcej ich tylko intrygował mój wygląd. Wyjaśniłem w jaki sposób, zamiast palta, miałem na sobie watowany chałat.

— A mimo to, pójdziemy do zarządu.

Zaprowadzili. Nie było co robić, poszedłem za nimi. Trafiłem do jakiegoś urzędu. Kancelarja.

Trzeba było wejść na trzecie piętro. Pokazali ławkę.

— Posiedź tutaj.

Odeszli. I, widocznie, zapomnieli. Obok mnie wciąż przechodzili to urzędnicy, to urzędniczki. W oczach się nawet mienić zaczęło. Nie mając co robić, patrzałem na twarze i myślałem, który to z nich modlił się za belkami.

Ten? Nie. Ten nie może się tak gorliwie modlić. Ten?... No, ten prędzej na szubienicę pójdzie, nim zacznie się modlić. Twarz zła, uparta...

Widocznie, upłynęła więcej niż godzina czasu.

— Ty, towarzyszu, do kogo?

Objąśnięm, o co idzie.

— Zaraz.

Minęło znów z pół godziny. Nareszcie wszedł ten kolejarz, który mnie zauważył i chciał aresztować. Skinął na mnie ręką. Wstałem. Poszedłem za nim.

W gabinecie przy biurku siedział robotnik. Dlaczego w myśli nazwałem go robotnikiem, nie wiem. Prosta, ordynarna i zuchwała twarz. Szeroka z rzadkim zarostem. Lecz ubrany bardzo elegancko. Nowa kurtka. Wykrochmalony kołnierzyk i krawat z wielką szpilką z brylantem. Starannie, z szykiem podstrzyżony. Nawet pachniało od niego perfumami. Na wszystkich palcach pierścienie. Nigdy jeszcze u nikogo nie widziałem takiej ilości pierścieni.

W pobliżu niego siedziała panienka, również wspaniale i bogato ubrana. Ręką również okryta pierścieniami. Na mój widok roześmiała się. Zachichotała głośno. Elegancki robotnik popatrzał na nią. Z początku uśmiechnął się, a potem i sam roześmiał się. Ktoś jeszcze zachichotał. Jakiś je-

szcze urzędnik, siedzący przy drugim biurku. Śmiech zaraził wszystkich.

— Och, nie mogę, — jęczała panienka.

— Już wy, towarzyszu, jesteście bardzo śmieszni.

Panienka pisnęła.

— I piesek z nim....

Nie wiem dla czego wywołało to nowy wybuch śmiechu.

— Po co go do nas przyprowadzili?

— Włóczył się po podwórzu.

— Wyprowadźcie go... Ot straszdyło na wróble...

Przy wyjściu z podwórza znów mnie zgubili. Potem poszedłem do kontroli. Zaczęli obmacywać. Kazali rozpiąć chałat.

— Może gdzie zaszył?

— Lecz przecież nic przy sobie nie mam.

Z tyłu zaczęli przynaglać.

— Nie mamy czasu... Załatwiajcie prędzej. No, odprowadź go na bok. Potem się nim zajmiesz, jeżeli podejrzany.

Mimo to moje dobre usposobienie i spokój duchowy nie minęły. Nie martwiło mnie wcale, że nic nie uzyskałem, że nic nie dowiedziałem się o bracie. Trudno było odrazu spodziewać się powodzenia w moich poszukiwaniach. Trzeba tylko czekać na okazję. Lecz ja zaliczałem siebie do liczby ludzi szczęśliwych i głęboko byłem przekonany, że tak lub inaczej odnajdę brata. Jedno tylko cokolwiek martwiło mnie: nie mogłem już więcej pokazać się na dworcu Mikołajewskim. Zauważyli mnie, a w szczególności mój dziwny kostjum. Mimowoli trzeba będzie rozstać się z nim.

Trudno powtórzyć, co działo się w domu. Niania jęczała. Chciała, żebym koniecznie natych-

miast położył się do łóżka. Nawet żądała. Groziła.

— Oto zaraz pobiegnę po Marję Romanową. Ona panu każe się położyć. Zresztą, wszystko jedno, ona mi nakazała, ażeby ją natychmiast, jak tylko pan powróci, zawiadomić.

Wyszedł i ojciec Cyryl. Zamierzał już iść do cerkwi. Pochmurnie i długo patrzył na mnie.

— Gdzieś się podziewał?

— Do cyrkułu zabrali.

— Hm... A dlaczegoś ty wczoraj, pomimo noc, wyszedł?

— Zachciałem pospacerować.

Pokiwał głową. Popatrzał na pieska, który w nieznanym domu, wśród nieznanych ludzi, zmieszany, obcierał się o moje nogi i niuchał.

— Cóż to za Filka?

— Razem w cyrkule spaliśmy.

— Dobrej rasy.

Niania, jak się okazuje, nieomal całą noc oczekiwała na mnie. Wszystko miała przygotowane, ażeby mnie, gdy tylko wrócę, napoić „gorącą herbatką“ i nakarmić.

Djakon wyszedł do cerkwi.

Wogóle czułem się znakomicie. Jadłem i piłem z wielkim apetytem. Śmiałem się. Próbowałem nawet rozweselić trochę i nianię. Dowiedziałem się, że nazywała się Teodozją Finogienową. Najadła się i Filka. Z początku nie czuła jakoś do niani zaufania. Warczała na nią, kiedy ta podeszła do mnie, ażeby rozpiąć kołnierz przy chłacie. Lecz wkrótce zrozumiała, że niania robiła wszystko z troski o mnie, i uspokoiła się. Skoczyła na otomanę, skrzyła się obok mnie w kłębek i zamknęła oczy. Lecz czułem, że nie spała. Wciąż bacznie uważała na wszystko, co się działo

w około niej, i od czasu do czasu patrzyła na nianię, obawiając się, że ta czemkolwiek skrzywdzi mnie.

Miałem zupełnie określony cel, to jest podzielony dzień cały, co powinienem dziś zrobić.

Przedewszystkiem trzeba było iść do kancelarii, gdzie, jak mi powiedział Iwan Terentjicz, było przygotowane dla mnie nowe ubranie. Poszedłem do kancelarii i otrzymałem paczkę. To zajęło mi nie więcej nad pół godziny.

Podszedłem do lustra. Broda... Bóg z nią. Niech pozostanie. Rosła ona mi nie w szerz a w dół. Jak u filozofa W. Sołowjewa. Broda długa. Na dole lekko dzieliła się na dwoje. Na policzkach były rzadkie włosy. Lecz na głowie włosy tak odrosły, że spadały nawet na ramiona. Cokolwiek kręciły się. Włosy też nadawały mi wygląd osoby duchownej.

Jak zauważyłem, często, myśląc o czemkolwiek, wyrażałem swe myśli głośno. Wcześniej, przed chorobą, to mi się nie zdarzało. Chciałem się oduczyć od tego. Kilkakrotnie łapałem się na tem i wmawiałem w siebie, że więcej to się powtórzyć nie powinno.

— Marynarze mają swego fryzjera. Tylko teraz oni u niego się nie strzygą. Wolą strzyć się u pierwszorzędnego fryzjera. Jeszcze ostrzyże mnie w schodki lub do skóry. W mieście zakładów fryzjerskich niema. Być może i są gdzie, lecz nie doczekasz się. I pieniędzy na to nie mam...

— A co, panie, gdybym ja was ostrzygła, — rzekła niania — gdy u księżniczki była, sama wszystkie dzieci strzygłam. Żeby nie wiem jak u fryzjera czysto było, a jednak bałam się tam dzieci prowadzić.

Nożyc w domu nie było. Pobieglem do stró-

za i wziąłem nożyce od jego żony. Akurat bielizna nasza była gotowa, i zabrałem ją z sobą. Obiecałem za bieliznę zapłacić oddzielnie z deputatu.

Rozłożyliśmy z nianią bieliznę na komodzie. Napaliłem w łazience. W salonie, gdzie było złożone drzewo, usiadłem przed wielkim lustrem. Niania zawiązała mi na szyi prześcieradło i przystąpiła do strzyżenia.

— Wiem... wiem. Jak u muzykantów. Ot takie włosy. I dzieci tak strzygą.

Na podłogę spadały moje kędziory. Niania rozczesywała głowę moją ostrożnie. Podnosiła grzebieniem pasmo włosów do góry i koniec jego obcinała. Prawda, robiła to wszystko powoli, strzygła mnie co najmniej godzinę, lecz mimo to, kiedy wstałem i bliżej podszedłem do lustra, obydwójce byliśmy zadowoleni. Długie włosy leżały zupełnie dobrze, i jeżeli spadało gdzie pasemko, to było to nawet ładnie.

Niania przygotowała już wszystko do obiadu i poszła do cerkwi. Zamiotłem podłogę. W łazience woda już się zagrzała. Wszystko było gotowe, tak że mogłem przystąpić do najważniejszego, to jest do przebrania się w nowe ubranie. Rozłożyłem na krześle nowe szerokie spodnie i kurtkę. Oczyściłem wysokie buty. Na gwoździu wisiał nowy szynel i czapka. Kiedy przed ostrzyżeniem spojrzałem na siebie w lustro, to mimowoli porównałem siebie z Robinsonem Kruzoe.

Wykąpałem się. Po kąpieli, dorzuciłem jeszcze drzewa, ażeby i dla ojca Cyryla była gorąca woda. Przebrałem się.

Stałem przed lustrem. Bardzo dobrze. Przyzwyczajcie. Szczególnie po mojej chlamidzie, lecz przejął mnie jakiś smutek.

O, z jaką przyjemnością włożyłbym na siebie wykrochmalony kołnierzyk. Ubrałbym się w marynarkę. Wogóle byłbym podobny do siebie, a nie do jakiejś bezbarwnej, szarej osobistości.

Kąpiel i przebieranie się zajęły mi cały prawie dzień do obiadu. Wrócił ojciec djakon. Był ze wszystkiego zadowolony. Nie uwierzył, że ma czystą bieliznę.

— Dobrzeby było, żeby i ojciec Aleksander się wykapał, — zauważył, głaszcząc ręką okrągły piec w łazience.

Niania również mnie pochwaliła. Zagrzała przygotowany obiad. Zniosła obiad i ojcu Aleksandrowi. Między innemi powiedziała mi:

— Zaszłam na chwilkę do Marji Romanówny. Zadowolona jest, że pan się znalazł. Tylko że mąż jej zachorował.

— Mąż? — zdziwiłem się.

Nic o nim nie słyszałem.

— Prosiła, ażeby pan do niej zaszedł kiedykolwiek.

— Dobrze, nianiu... zajdę.

Po obiedzie zaszedłem do marynarzy. W kancelarji nikogo nie było. Dowiedziałem się tylko, że za godzinę będą wydawać deputat. Wtedy udałem się do Iwana Terentjicza do piekarni. Zajęty był przyjmowaniem wypieczonych chlebów.

— Siadajcie, towarzyszu, tutaj... Poczekajcie...

Mimo to jednak obejrzał mnie i był bardzo zadowolony z mojego wyglądu.

— To dobrze!... Odrazu widać, że muzykant.

Kiedy zaszła przerwa w odbiorze chleba, jeszcze raz mnie obejrzał.

— Akurat w miarę!

Obciągnął mój szynel.

Iwan Terentjicz dał mi dwa wielkie bochenki czarnego, jeszcze gorącego chleba. Schowałem je pod szynel i szczęśliwie przeszedłem przez kontrolę. Odniosłem do domu i udałem się po deputat.

Spotkałem Ładnowa.

— Komisarz was szukał. Jest u siebie.

Komisarz zawiadomił mnie, że w ostatki przez cały tydzień jestem zajęty. Codziennie bałe w różnych miejscach. U nich w środę i sobotę. Zapisany jestem i w innych urzędach, gdzie powinienem się zgłosić.

Porozmawiałem i z innymi marynarzami, którzy, nie mając co robić, kręcili się po kancelarji. Wytworzyły się między nimi a mną jaknajlepsze stosunki. Zawsze witali mnie z uśmiechami. Poklepywali po ramieniu.

— Zuch!

Nie wiem dlaczego każdy z nich uważał sobie za obowiązek zachęcać mnie tą pochwałą.

Tym razem otrzymałem znów z powodu nadejścia ostatków jakiś zwiększony deputat. W domu wszystko podzieliłem. Niania i ojciec Cyryl patrzeli na mnie.

— Prawidłowo.. — niekiedy wtrącał ojciec djakon.

Wydałem niani. Odłożyłem dla ojca Aleksandra. Na boku złożyłem wszystko, co przeznaczyłem dla stróża.

— A Sawelij umiera.

— Jaki Sawelij?

— A drugi stróż. Z głodu. I żona jego również. Dziś zajrzałem do nich. Żle... Zniosłem im cokolwiek, lecz nie mogą już pokarmów przyjmować... Odmówić by modlitwy za konających?..

O Sawelju słyszałem mimochodem. Nikt mi nie powiedział, że on i jego żona są chorzy.

Poszedłem ich odwiedzić.

Mieszkał w tym samym domku cerkiewnym, co i pierwszy stróż. Wejście było jedno, tylko do mieszkania pierwszego stróża drzwi były z malutkiej sionki na prawo, a do Sawelja na lewo.

Drzwi były niezamknięte. Wszedłem.

Mieszkanie było zupełnie takie same jak pierwszego stróża. Trzy pokoiki i przedpokój. Przedewszystkiem zwróciłem uwagę na to, że w pokojkach było zupełnie pusto. Jak w mieszkaniu, z którego dopiero co wyprowadzono się. Nie było nawet gdzie położyć paczki z deputatem, który przyniosłem dla pierwszego stróża. Jeżeli się nie mylę, nazywano go Iwanem.

Okna puste. Wszystko zerwane z gwoździ. Na podłodze przewalały się podarte papierki i wszelka nie zdatna do użytku starzyzna, jak śmiecie. Kawałek, nie dłuższy nad dwa werszki, jasno-żółtej wstążeczki. W następnym pokoju to samo. Nieomal że już nie wyszedłem, myśląc, że w tem mieszkaniu nikogo nie ma.

Zajrzałem do następnego. Łóżko. Na niem coś nawalone. Wznosiła się góra. Ciemna. Zupełnie, jakby na łóżko były złożone palto i kołdry.

Ktoś ciężko oddychał. Nachyliłem się. Ostrożnie odrzuciłem kołdrę. Stróż poruszył się. Z trudem przesunął głowę. Spojrzał na mnie i znów głowa jego stoczyła się na bok.

Zacząłem ostrożnie zdejmować z niego jakieś łachmany. Chciałem obejrzyć chorego. Leżał w palcie. Na nogach wielkie podarte walonki. Za nim, bliżej do ściany, leżała jeszcze jakaś postać. Stróż leżał do niej blisko, twarzą, jakby starając się ogrzać.

Zacząłem rozwijać i drugą postać. Kobieta. To jego żona. Kiedy zdjąłem z jej głowy chustkę, zrozumiałem, że kobieta jest martwa.

Przykryłem obydwójce. Szybko przeszedłem do mieszkania Iwana. Żona jego siedziała z dzieckiem przy stole i piła herbatę.

— Prędzej pobiegnijcie po ojca Aleksandra i djakona.

— Gdzie ja tam z dzieckiem pójdę?...

— Sawelij umiera.

— A niech go tam!...

Rozzłościła się.

— Dokuczył mi on... Umiera... umiera... I umarłby, jeżeli ma chęć do tego... Cóż to ja obowiązana jestem utrzymywać go?... Cóż on dla mnie?... Kum, czy brat... Wszystkie swoje meble, jakie miał spalił... Nie mógł drzewa dostać... Tak i meblami palił. A żona na targ chodziła. Sprzedawała, co tylko u nich było... A tu wam za ten wasz deputat i służ wszystkim, i bieliznę pierz...

— Nie chcecie, to nie trzeba...

Wyszedłem. Zabrałem z pokoju Sawelja paczkę i poszedłem po ojca Aleksandra. Stróżka, kiedy przechodziłem obok ich drzwi, wyjrzała.

— A co tam jest u was?

Schwyciła mnie za rękaw.

— No, takbyś i powiedział...

Z chciwością zaczęła rozwijać...

— Zdążycie. Nikt wam nie odbierze. W ostatki dużo dostanę...

Posadziła dziecko na łóżku. Pobiegła pędem. Usiadłem przy dziecku. Zaczęło pisać. Potem wpatrzyło się we mnie. Zapomniało, że chciało płakać.

Zaklaskałem nad niem palcami. Uśmiechnęło się i wyciągnęło do mnie rączki.

Co mam robić? Jak pomódz Saweljowi? Wszystko jedno — późno. Leży prawie bez przytomności. Ach, żeby było wino. To odrazu dodałoby mu siły.

Położyłem poduszki tak, ażeby dziecko nie spadło. Nalałem do kubka gorącej herbaty. Włożyłem cukru. Zamieszałem. Wziąłem kawałek chleba.

Przeszedłem do Sawelja. Starałem się podnieść głowę jego i dać mu herbaty. Z trudnością połknął. I zaraz głowa bez życia stoczyła się na łachmany.

Wkrótce przyszedł ojciec Aleksander, djakon i niania. Stróżka poszła do siebie.

— Ona już umarła, — szepnąłem ojcu Cyrylowi.

Ojciec Aleksander wdziawał szaty liturgiczne. Djakon stał pochmurny.

— Jaki to grzech... — rzekł do mnie: O sobie myślałem, a o innych nie. I jakim to przeoczył? Wczoraj rano widziałem Sawelja. Szedł przez podwórze. Spytałem go o żonę. Nic, mówi, leży. Doktora wszystko jedno nie zawezwę. Mówię: a ty byś sam się położył. Jakże? Nie chce. Robota, mówi, jest. A ja już widzę, nadszarpał się człowiek. Do twego przyścia myśmy wszyscy głodowali. Tylko Iwan wzbogacał się. Nie raz mówiłem Iwanowi, żeby pomógł Saweljowi. Wczoraj przez niego zupę Saweljowi posłałem. Trzeba było samemu zająć... Nie wiedziałem, że Sawelij wszystko sprzedał i spalił. Kiedyś spytałem Sawelja, czy nie potrzeba mu czego? Nie trzeba, mówi. Teraz każdy o siebie powinien się troszczyć. Ojciec Mikołaj, mówi, wyższy odemnie, a i ten z głodu umarł. Ot masz, zrozum człowieka...

Ojciec Aleksander podszedł do łóżka. Odrzucił szmaty, które leżały na głowie Sawelja i jego żony. Zaczął odmawiać modlitwy.

Cicho i monotonnie rozlegały się jej słowa w pustym pokoju. Stałem obok niani i modliłem się.

Wbiegła stróżka. Z hałasem. Ze złą twarzą. Zwróciła się do mnie:

— Gdzieżes kubek podział?

Spytała głośno, naruszając ogólny nastrój. Pokazałem na okno. Stróżka schwytała kubek z okna. Odchodząc, głośno stukała, mrużąc pod nosem:

— Jakie ci jeszcze nowości!.. Mój kubek zabrał.

Ojciec Aleksander na hałas i krzyki stróżki nie odwrócił się. Modlił się w dalszym ciągu. Potem nachylił się nad Saweljem i długo się na niego patrzył. Podeszedłem szybko. Również nachyliłem się. Dotknąłem się jego czoła. Wziąłem za rękę.

— I on umarł...

Zauważyłem, że w drzwiach ktoś zakaszał. Stała kobieta. Bez chustki. Bardzo zaniepokojona.

Podeszedłem. Kobieta szepnęła mi:

— Samochody podjechały do cerkwi. To na rewizję przyjechali. Trzeba powiedzieć ojcu Aleksandrowi.

Pobiegłem do siebie. Kobieta (jak okazało się była to żona ojca Aleksandra) ledwie nadązała za mną. Momentalnie schwytałem dziedziczne pudełko księżniczki, znów wyszedłem na podwórze. Za rogiem domu znalazłem jakiś kawałek żelaza. Natychmiast zacząłem kopać ziemię. Wydobywałem ziemię rękoma, to żelazem. Słyszałem za ogrodzeniem gwar, głosy, warczenie samochodu. Robota moja kipiała. Lecz działałem ostrożnie. Zakopałem pudełko, zasypałem ziemią, udeptałem i narzuciłem na to miejsce śniegu. Ma się rozumieć, jeżeli wśród czekistów znajdzie się zręczny wywiadowca, od razu może poznać, że w tym miejscu coś zakopano. Zaryzykowałem.

— Los, — pomyślałem.

Przemknąłem się do drzwi i poszedłem do siebie. Zdołałem szepnąć niani, że pudełko znajduje się w pewnym miejscu. Ojciec djakon był spokojny.

— Niech przychodzą. Wszystko jedno, u mnie nic nie znajdą. Ja Sawelja żałuję... Na mnie spada ten grzech... Oto myśmy przez te dni dobrze jedli, a on z głodu umierał...

Z trudnością udało mi się uspokoić ojca Cyryla. Wyraźne, że z nadmiaru dobroci, całą winę brał na siebie. Wszystko jedno, uratować Sawelja i żonę jego było niemożliwe. Zapóźno.

Niania również z pokorą siedziała w kuchni i zupełnie, jakby czekała na rozstrzygnięcie swego losu.

Kiedy zaczęli rewizję u ojca Aleksandra, przy naszych drzwiach postawili czerwonogwardzistę z karabinem.

— Coś wcześniej przyjechali. Rewizje oni zwykle nocami robią, — rzekł ojciec djakon.

Umilkł. Milczeliśmy. Nudnem było siedzieć bez zajęcia.

— Herbaty chyba się napijemy?

Poszedłem do kuchni. Nastawiliśmy razem z nianią samowar. Musieliśmy wciąż przechodzić obok czerwonogwardzisty. Stał on z wyrazem zupełnego oddania swojej służbie. Prosta twarz żołnierska. Z wystającymi kośćmi policzkowymi, prawie bez śladów zarostu. Jasny blondyn. Patrzył na nas, jak na wrogów, którzy dostali się do niewoli. Szczególnie, kiedy widział ojca Cyryla. Zauważyłem, że nawet splunął na widok duchownej osoby. Dobrze, że tego nie zauważył ojciec Cyryl.

Przyniosłem samowar. Niania wszystko przy-

gotowała. Ojciec Cyryl nalał jeszcze jedną filiżankę. Włożył nawet do niej cukru.

— Niech i on się napije.

Czerwonogwardzista, kiedy wszyscy weszliśmy do pokoju ojca Cyryla, stanął w przedpokoju tak, że widział wszystko, jak piliśmy herbatę. Ojciec Cyryl sam podszedł do czerwonogwardzisty z filiżanką.

— Czy nie napilibyście się herbatki?... Z cukrem...

— Dziękuję.

Ojciec Cyryl wziął od czerwonogwardzisty karabin, ażeby mu nie przeszkadzał.

— Gorąca!...

Podmuchał w filiżankę...

— Może z chlebem?... Nianiul! Proszę ukrajać mu chleba.

Czerwonogwardzista stał. Zjadał chleb i popijał go słodką herbatą. Przy czerwonogwardziście stał ojciec Cyryl z karabinem, niania z pajdą chleba i ja. Filka również zeskoczyła z fotela i przyszła popatrzeć na czerwonogwardzistę. Warczała. Widocznie nie spodobało się jej, że my tyle uwagi zwracamy na jakiegoś nieznajomego człowieka.

— Dlaczegoście to zamysłili rewizję robić? — spytał ojciec Cyryl.

— Donos był.

— Na nas?...

— Nie kazano mówić... Nic nie powiem. Nie leżcie.

Nie wiadomo dlaczego, czerwonogwardzista, po wypiciu herbaty, stał się odrazu nadzwyczaj ordynarnym.

— Przechodzić do siebie. I milczeć! — rzekł tonem rozkazu.

Po półgodzinie w przedpokoju dał się słyszeć gwar. To do nas szli na rewizję. Wyszliśmy na ich spotkanie.

Było sześć osób. Oficer na czele. Z zachowania, z ruchów, wreszcie z twarzy, widać było, że był to oficer kadrowy dawnych czasów, który teraz przypiął czerwoną gwiazdę. Obok niego w jakimś dziwnym nawpół wojskowym mundurze, również z rewolwerem, młody żyd. Kędzierzawy. Różowe pulchne usta. I malutki nosek z typowym garbkiem. Pomimo swego malutkiego wzrostu, patrzył dumnie i wyniosłe. Z niemi młoda dziewczyna w czapce i krótkim, ciepłym zakiecie. Spódnica długa. Pozostali byli prości czerwonogwardziści i robotnicy. Zdziwiło mnie to, że była z nimi żona stróża cerkiewnego Iwana.

Nikt z nimi nie przywitał się.

— Zacząć od tego pokoju, — wskazał oficer na ten pokój, w którym piliśmy herbatę.

Rewidowali żyd, dziewczyna i robotnik. Oficer tylko wydawał polecenia. Czerwonogwardziści stali w drzwiach. Nikt, rozumie się, czapki nie zdjął.

— Kto taki?...

Ojciec djakon łagodnie popatrzał na oficera.

— Protodjakon soboru pod wezwaniem Świętego Mikołaja.

— Dokumenty!...

— Mam je w biurku...

— Przy sobie trzeba nosić... Szukajcie tymczasem. Kto taki?

Zwrócił się do mnie. W milczeniu wyjąłem dokument, wydany mi przez komisarza, i podałem go oficerowi. Ten przeczytał.

— To mało. Gdzie jest książka robocza?...

— Jeszcze nie wydali...

Niania również wręczyła swą książkę. Oficer

przyczepiał się do wszystkiego. Krzyczał. Żądał, ażeby wszystko było podług prawa, że powinniśmy być jeszcze gdzieś tam zarejestrowanymi, posiadać jeszcze jakieś tam dokumenty...

— Zrewidować ją!...

Nianię wyprowadziła dziewczyna w czapce i żona Iwana. Mnie i djakona postawili pod ścianę i nie kazali ruszać się. Zaczęła się rewizja. Robotnik przedewszystkiem wysunął szufladę komody. Żyd przewracał w niej, obmacując każdą rzecz i rzucając na podłogę.

— Po co tu damska bielizna?...

— To mojej żony nieboszczki.

— Zabieraj!...

Wybrał damskie drobiazgi toaletowe i rzucił je czerwonogwardziście.

— A gdzie wy pieniądze chowacie?...

— Nie mam ich.

— Opowiadajcie... Czyż mogę wam uwierzyć? O, ile u ruskich popów było pieniędzy... O, jak oni wspaniale jedli... Kto nie wie o popim brzuchu...

Dobrodusznie roześmiał się. Parsknęli i czerwonogwardziści. Tylko oficer patrzył surowo na wszystko, co się działo.

Żyd szybko, zręcznymi palcami wyciągał z komody bieliznę. Damskie pantalony wyjął dwoma palcami i podniósł je wysoko.

— Jakąż elegantką była wasza żona!... Oj!... Z koronkami!... Jak u baleryny... Chcecie, mogę je wam zostawić na pamiątkę?... Jam człowiek dobry... No?... Bierzcie sobie...

Kiedy rzucił pantalony w stronę djakona, ten nie poruszył się. Nie wyciągnął ręki, ażeby je złapać. Pantalony upadły przy jego nogach. Nachyliłem się, podniosłem je, akuratnie złożyłem.

Wszystko, co było w komodzie, częściowo leżało na podłodze, w zupełnym bezładzie, częściowo było odłożone przez czerwonogwardzistów oddzielnie, na krzesła.

Żyd coraz bardziej i bardziej dawał się porwać rewizją. Wysunęli szuflady biurka, przewracali w każdym pudełku, w każdej paczce.

Żyd przejrzał książki. Odrzucił je.

— Też co do książek rozkaz był — zauważył czerwonogwardzista.

— No, to książki dla zbawienia duszy... Więc, towarzysze, zaczniemy od mebli..

Żołnierze wzięli karabiny, jak do ataku. Żyd ich zatrzymał i zwrócił się do nas.

— Wiecie, co ja wam powiem? Co wasi popi zrobili?... Oni różne ozdoby cerkiewne... perły, brylanty, krzyże złote... wszystko to wynieśli z cerkwi. I co oni z nimi zrobili?... Część u siebie schowali, a część na targu sprzedali. To, powiedzcie, dobrze jest?..

— Tego nigdy nie było i być nie mogło, — rzekł cicho ojciec Cyryl.

— Ja wam przecież mówię... Mnie towarzysz mówił, że u jednego popa znaleźli krzyże w meblach... Zobaczymy, co tam u was schowane?... No, towarzysze?..

Czerwonogwardziści, zachęceni przez żyda, zaczęli bagnetami pchać w fotele i otomanę. Filka zaszczekała. Czerwonogwardzista chciał uderzyć ją karabinem, lecz zręcznie złapałem Filkę i wziąłem ją na ręce.

Jeden czerwonogwardzista wyciągnął wielki fiński nóż, wsadził go w obicie otomany i zrobił w niem wielkie i głębokie przecięcie. Jak drapieżne zwierzęta nad trupem, rwali obicie, nie wia-

domo poco zerwali firanki, odsunęli szafę i komodę. Przewracali krzesła.

— Szukajcie w podłodze, — rzekł oficer.

Czerwonogwardzista wetknął bagnet w kwadrat posadzki i zrećźnie go podniósł. Inny nachylił się i rękami oderwał kawałek deski.

— Panowie, — zwrócił się do nich ojciec Cyryl: wszystko to napróżno... Nic u mnie niema. Nic nie schowałem. Tylko rzeczy napróżno psujecie. Przecież to wasze dobro. Umrę, z sobą nie zabiorę, czy będzie ono całe, czy połamane. Swoje własne psujecie... Rosja to przecież cała... z temi meblami.

— Zamilcz! — krzyknął oficer.

— Cara to sobie schował! ze złą radością zawołał robotnik.

Znalazł portret cesarza.

— Odwieźć by ich za to trzeba.

Oficer spokojnie wziął portret cesarza i powoli podarł go na drobne kawałki. Zebrał je na dłoni i, nie śpiesząc się, posypał niemi podłogę. Żyd sam wlażł na stół i zdjął ikonę.

— Zostaw! — krzyknął ojciec djakon: nie znieważaj świętości.

— Ja przecież wszystko wiem... Ja wiem, że ty za swojego świętego pieniądze schowałeś... Pfuj!... Niech on ci je schowa...

Zerwał ikonę. Otworzył drzwiczki i stamtąd zaraz wypadła złota moneta.

— Nu, co ja mówiłem?... Co?...

— To zmarły nasz metropolita Palladjusz подарował mi na ząbek, kiedy urodził mi się syn.

— Opowiadaj!... Znamy my te bajki.

Żyd zdjął z ikony sukienkę, zerwał aksamit.

Wróciła dziewczyna, żona Iwana i niania.

— Znaleźliście co?

— Nie.

Żyd srebrną sukienkę rzucił czerwonogwardzistom na ogólną kupę. Ikonę rzucił na podłogę.

Skończywszy z jednym pokojem, przeszli do drugiego. Szczególne podejrzenie wywoływał mój chałat. Materac rozpruli. W salonie przełożyli drzewo.

Rewizja trwała do późnej nocy. Obejrzelі wszystkie rzeczy do ostatniego pudełeczka. Odłożyli dla siebie cośkolwiek z bielizny, sukienki srebrne z obrazów i trzy łyżeczki do herbaty.

Wszyscy zmęczyliśmy się. Przypomniałem sobie księżniczkę. I zaraz zbudziło się we mnie pełne obrzydliwości uczucie do tych ludzi, którzy się wdarli do cudzego mieszkania. Gdyby dostali się do domu złodzieje i wszystko przewrócili, byłoby to tak samo wstrętne, jak napad, uprawniony przez samych bolszewików.

Oficer, żyd, robotnik, jakaś dziewczyna.

Spełniali swą „prawną“ czynność. Nie rozumieli, jak byli dalecy od pojęcia: „człowiek“.

Ludzka padlina!

Coraz wołali ojca Cyryla. Siedziałem w ciemnym pokoju na krześle i drzemałem.

Ktoś wszedł do przedpokoju. Zawołał stróżkę. Al To jej mąż, Iwan. Zaczęli szeptać.

— No co?..

— Zdrowo ich... Popamiętają nas teraz. Nie będą mówić, że z cerkwi kradniemy.

— Żeby u nas nie było rewizji.

— U nas nie będzie! — z przekonaniem odpowiedziała stróżka.

I ta zdradziła, jak Maszka.

3. Five o'clock.

Iwan Terentjicz powiedział mi, że u pana Piersohna w czwartek, o godzinie piątej wieczorem będą goście i, że kazał mi on przyjść. Obiecał za to dać kolację i zapłacić.

Przyszedłem cokolwiek wcześniej. Drzwi frontowe były otwarte i oczyszczone. Lecz ja poszedłem schodami kuchennymi.

W kuchni Maszka i Iwan Terentjicz.

— Posiedźcie tu. Tymczasem jeszcze goście dopiero zbierają się. Dziś Szymon Isaicz ugaszcza komisarza, i gości zaprosił.

Maszka nie miała czasu na rozmowy. Cała pogrążona była w pracy. Napiekła stosy obwarzanków, pierogów, ciastek różnych gatunków, keksów. Iwan Terentjicz pomagał jej o ile mógł. Dokładał drzewa do pieca, wyciągał żelazną blachę z ciastkami z piecyka, nalewał wody do rondli, nastawiał samowar, wycierał nakrycia. Robota ich kipiała.

Maszka zaczerwieniła się, lecz była zadowolona, że wszystko jej się udawało.

Przypomniałem sobie, jak smaczne obwarzanki jadałem u Konownicznych. Piekła je ta sama Maszka. Tylko wtedy siedziałem w salonie, gdzie teraz przyjmuje swoich gości Szymon Isajewicz Piersohn.

Chociaż Maszka i rządziła, lecz do pokoju swego pana nie wchodziła. Do różnych usług wynajęta była dziewczyna. Wesoła. Zupełnie nie brzydka. Żydóweczka. Róża. Zabierała wypieczone obwarzanki i bułeczki. Śpiesznie biegała. Zawsze z wesołym uśmiechem.

Wyszedł do kuchni i sam Piersohn. Skinął mi głową.

— Masza, dajcie mu herbaty i... wszystkiego... Bułeczki... kawałek obwarzanka.

— Czego jeszcze!... Krajany, czy co, na stół podam?...

— Róża!.. Przynieś mu ze stołu kawałeczek obwarzanka. A potem wy możecie grać. Cośkolwiek cichego... To bardzo dobrze, kiedy podczas herbaty gra muzyka...

Masza zakręciła się. Zaśpiewała:

— A jak się udały obwarzanki?

Wiedziała, że jej się udały, lecz chciała posłyszeć pochwałę z ust samego pana.

— Bardzo... bardzo dobre.

Poszedł. Róża przyniosła mi kawał obwarzanka i słodkiego pieroga. W kuchni wszystkie stoły zajęte były przez ciasta, i ja ulokowałem się przy oknie, postawiwszy filiżankę z herbatą i talerzyk z ciastem na desce okiennej.

Jakiem się dowiedział, pan Piersohn wysiedlił Maszkę z jadalni. Oddał jej pokój za kuchnię. Prawda, odnowił go, postawił dobre (przypuszczalnie, ma się rozumieć) meble, założył firanki. Do tego pokoju zniósł wszystko, co, jego zdaniem, psuło frontowe pokoje. Przedewszystkiem ciemne obrazy. Były to stare, nader cenne obrazy, którymi zawsze tak się szczycił sam Konowicyn.

Przybiegła Róża.

— Kazano wam teraz tam iść.

Przeprowadziła mnie do salonu. Nikogo tam nie było. Wszyscy goście siedzieli w jadalni. Dobiegała bardzo ożywiona rozmowa, brzęk nakryć.

Róża pobiegła powiedzieć o mnie Szymonowi Isaiczu. Ten wyszedł.

— No, siadajcie... Zagrajcie cośkolwiek takiego... przyjemnego...

I zaraz wrócił do jadalni. Usiadłem przy fortepianie. Zapas miałem wielki. W jeden wieczór nie mógłbym zagrać tego, co umiałem na pamięć. Pamięć muzykalną posiadałem zdumiewającą. Łatwo grałem z nut. Popatrzałem na etażerkę obrotową z nutami, która stała przy fortepianie. O, wszystkie te zeszyty były mi dobrze znane. Nieraz grałem u Konownicznych. Akompanjowałem Wołodi. Miał on przyjemny głos barytonowy. Znałem te oprawy, teczki, zeszyty z oberwaniami okładkami. Zawsze mówili, że trzeba je koniecznie oprawić, lecz mimo to nie udało się.

Grałem z łatwością. Jeżeli coś zapomniałem, zupełnie swobodnie improwizowałem. Miałem wielkie zdolności do muzyki. Ilubiałem grać, lecz nigdy muzyki nie uważałem za jedyny cel życia mego. Ozdabiała je tylko. Zapełniała puste chwile. A teraz stała się mojem zbawieniem.

Mogłem grać dużo, prawie nie patrząc na klawisze. Drzwi do jadalni były otwarte i, kiedy zwracałem głowę na lewo, widziałem prawie wszystkich, kto tam był...

Szymon Isaicz nie siadał. Chodził wokoło stołu i częstował. Nalewał wino. Do kogokolwiek nachylał się i coś mówił. Było wiele znajomych twarzy. Komisarz, który specjalnie przyjaźnił się z Szymonem Isaiczem.

Rozumie się, że z „chamstwa“ (w słowie tem odgaduję tylko myśl samego Piersohna) był mało kto. Nieomal, że tylko sam komisarz, i to tylko dlatego, że zajmował wysokie stanowisko. Nie zaprosi że przecież pan Piersohn do siebie, do swego stołu Maszki lub Iwana Terentjicza? lub kogokolwiek z „marynarki“? Szymon Isaicz zbyt dostojny jest na to, ażeby poniżyć swą godność. Mnie, człowieka inteligentnego, lecz muzykanta,

nie zaprosił do stołu i kazał oczekiwać w kuchni, dopóki nie każe grać.

A! I drugi komisarz jest tu. Ten sam, który zawarł cywilne małżeństwo z moją siostrzenicą, Lelą. Znaczy się, nie jeden „cham“, a już dwaj są. To przynosi zaszczyt Szymonowi Isaiczu.

Leli nie było. Sieroża siedział w galowym mundurze obok Ksieni. Zakochał się w niej chłopiec. Widać to zaraz. Przez cały czas rozmawiał z nią. Podawał ciasto. Wziął jej filizankę i poprosił Różę, ażeby nalała jeszcze... Naprzeciwno Ksieni, jak mi się wydało, siedziała plecami do mnie Marja Romanówna. Na rogu stołu usiedli dwaj panowie. Obydwaj szanowni z wieku i powierchowności. Jeden żyd. Widocznie bardzo bogaty, gdyż na palcu jego widniał pierścień z wielkim brylantem. Drugi był ubrany bardzo skromnie. Znoszona bardzo marynarka wyblakłego koloru fioletowego i granatowe wyświecone spodnie. Kołnierzyk miękki, letni, porządnie pomięty. Barwy kremowej. Wydawał się poprostu brudnym. Żyd siedział na krześle prosto, złożyłszy ręce na brzuchu. Drugi jegomość siedział, lekko pochyłony w stronę żyda, jakby słuchał go z natężoną uwagą, z jaką się słucha, obawiając się utracić choć jedno słowo. Było w nim wiele marnego, nieprzyjemnego i cokolwiek śmiesznego. Śmieszna tchórzliwość.

Tymczasem tylko zwróciłem uwagę na tych gości. Pozostali częściowo byli dla mnie mało zajmujący, częściowo ich nie widziałem, gdyż wychodzili z granic mojego widzenia.

Grałem z przerwami. Brałem z etażerki nuty i przeglądałem je. Niekiedy zapominałem, że siedzę u Szymona Isaicza. Zdawało się, że zaraz

wyjdzie sam Konownicyn, żona jego, Wołodia i Józef z nimi.

Józef nie mógł spokojnie siedzieć na miejscu. Zaraz zaczynał zabawę z Wołodią. Lecz te chwile wspomnień były krótkie. Natychmiast rzeczywistość przepędzała marzenia o przeszłości. Goście Piersohna zachowywali się z godnością, jak należy w wyższym towarzystwie.

Jakim sposobem dostała się Marja Romanówna?... Czy z powodu Ksieni? Lecz ta wogóle chodziła z wizytami i na zabawy tańczące do marynarzy bez matki. Napewno, jest tu i mąż Marji Romanówny. O nim nie powiedziała mi ona ani razu ani słowa. I byłem daleki od myśli, że żyje ona z mężem. Zaraz też pomyślałem, że umyślnie o nim mi nie mówiła. Ciekawe zobaczyć, jak on wygląda. Widocznie, ona jeszcze nie wie, że jestem zaproszony jako taper, do Szymona Isaicza. Mnie jednak, nie wiem dlaczego, było nieprzyjemnie widzieć Marję Romanównę w tem towarzystwie.

Bardzo zajmowała mnie myśl, jak spotka się ze mną Sieroża?... Jasne jest, że siostra opowiedziała mu o naszym spotkaniu, to jest, prawdę mówiąc, o mojej wizycie u niej i rozmowie w piwnicy. Napewno, wspomniała i o tem, że dałem słowo nie zdradzić niczem naszego pokrewieństwa. Inaczej mogliśmy zgubić siebie. Ja śmierci nie obawiałem się. Nic chciałem umierać tylko dlatego, że nie wypełniłem swego zadania. Doprowadzę je do końca.

Sieroża przeciwnie. Obawiał się o swoją skórę. Bardzo szczęśliwie uniknął rozstrzelania. Niech tylko dowiedzą się oni, że brał udział w spisku razem z nami, to jest ze mną, Józefem, Wołodią, Smielkowym i wieloma innymi, nie przebaczyli by

mu przeszłości, żeby nie wiem jak chciał zagładzić swe przewinienie.

Na czele spisku stał znany oficer Wołk. Centralny punkt łączności był na Fontance, niedaleko od Newskiego przy zaułku Czernyszewa, z lewej strony. Jeżeli iść od Newskiego. Na pierwszym pięttrze. Lecz prócz tego zbieraliśmy się w innych mieszkaniach. Przeważnie u mnie i u Smielkowa.

Razu pewnego nakryli nas. Ma się rozumieć, na skutek doniesienia. Jak się odrazu domyśliliśmy. zdradził nas były ordynans Smielkowa, Wasilij Tuczkina, który otrzymał na wojnie krzyż św. Jerzego. Był raniony w nogę, lecz rana była o tyle nieszkodliwa, że wkrótce w zupełności się z niej wyleczył. Ten ordynans wydawał się nam oddanym człowiekiem, i wszyscy dalecy byliśmy od myśli, że tak postąpi z nami. Do mieszkania Smielkowa weszło dziesięciu ludzi, uzbrojonych żołnierzy. Nie słyszeliśmy, jak im otworzono drzwi. Wyraźnie, że wpuścił ich Tuczkina.

Gdy tylko zobaczyliśmy wchodzących żołnierzy, natychmiast rozpoczęliśmy do nich strzelanine. Było to coś niezrozumiale dzikiego. Żołnierzom z ich karabinami było daleko trudniej walczyć z nami, niż nam z rewolwerami. Na czele ich oddziału był młody oficer. On pierwszy wystrzelił do nas i zabił na miejscu jednego z naszych przyjaciół. Odpowiedzieli jednoczesną salwą. Żołnierze krzyknęli. Dwaj z nich upuścili karabiny. Jeden z wyciem uciekł z pokoju. Najlepiej strzelali Józef i Wołodia. Józef dwóch żołnierzy położył na miejscu. Wołodia zranił oficera w głowę. Przewaga była po naszej stronie. Momentalnie rzuciliśmy się do walki wręcz. Nie chcieliśmy ofiar. Sieroża uderzeniem pięści powalił oficera. Wsiadł na niego, jak na konia. Zawołałem do żołnierzy, ażeby od-

dali karabiny. Zaraz też je porzucali. Sam Śmielkow przyniósł sznury i wszystkich niemi powięzaliśmy. Ordynansa i jednego żołnierza brakowało. Ordynansa znalazłem w przedpokoju. Ukrył się za płaszcami.

— Zdrajca!...

— Wasza miłość, przebaczenie..

Byłem prawie nieprzytomny. Schwytałem go za gardziel i tak potrząsałem, że uderzył się o róg i rozkrwawił sobie skroń.

— Ratujcie się!—krzyknął Wołodia.

Wszyscy wybiegliśmy z mieszkania w rozpęce. Przez drzwi frontowe wybiegłem ja, Józef, Sieroża, Wołodia i Śmielkow. Momentalnie wyciągnąłem klucz ze drzwi i, wychodząc, zamknąłem mieszkanie. Nie zdążyliśmy zbiedz ze schodów, gdy usłyszeliśmy hałas i krzyki. Natychmiast wszyscy pobiegliśmy za schody i schowaliśmy się w pokoju, w którym niegdyś mieszkał szwajcar. Nowy oddział szybko przebiegł na górę. Słyszeliśmy, jak dobijali się do drzwi.

Co robić? Chwila była ryzykowna. Byliśmy w rękach naszego wroga. Na ulicy stał tłum. Ostrożnie wyszedłem z ukrycia. Pchnąłem drzwi do mieszkania na parterze. Drzwi otworzyły się. Przeszliśmy do przedpokoju. W szwajcarce zaczęli się zbierać ciekawi. To nas ratowało. Kiedy w szwajcarce i nawet na dolnych stopniach schodów zebrało się wielu ludzi, myśmy niedostrzegalnie wyszli z za drzwi i, pokręciwszy się dla pozorów, jeden za drugim wydostaliśmy się na ulicę. Ku naszemu żalowi, tych, którzy schodzili schodami kuchennymi, wszystkich złapali.

Józef, nie zważając na chwilę pełną ryzyka, zdążył złapać nasze papiery. Gdyby się dostały bolszewikom, ofiar niepotrzebnych byłaby niezli-

czona ilość. Wpadłoby wielu, nie mających zupełnie nic wspólnego ze spiskiem. Było u nas wiele adresów osób, którym zamierzaliśmy posłać nasze wezwanie.

Wkrótce dowiedziałem się, że Smielkowa nakryli. Wszystkich naszych przyjaciół z nim na czele rozstrzelali. Działo się to w tym czasie, kiedy aresztowali oficera Wołka, wykluli mu oczy, długo oprowadzali po Newskim i potem zrzucili do Fontanki z mostu Aniczkowa.

Dla mnie dotychczas pozostaje tajemnicą, dla czego nas, to jest mnie i brata, tak gorliwie szukali, a nie mogli dowiedzieć się nazwiska tych dwóch oficerów, którzy byli z nami w czasie potyczki. Jeden z nich był Wołodja, obecnie zmarły, drugi Sieroża. Znał ich dobrze nasz ordynans. Dowiedziałem się, że oficer, który przyszedł z oddziałem nas aresztować, i ordynans Wasilij Tuczkin, umarli. Najprawdopodobniej, że którykolwiek z żołnierzy znał mnie i brata osobiście i służył w tym pułku, w którym służyliśmy podczas wojny.

Sieroża uratował się cudem. O Wołodi nie wiedzieli, że był w spisku. Jego, jak już mówiłem, zabili w tem mieszkaniu, na skutek zdrady Maszki. Ja i Józef ukryliśmy się bez śladu. W ten sposób z całej naszej kompanji pozostało przy życiu tylko trzech, a oddanych naszej sprawie — dwóch.

— Nu czego wy nie gracie?.. Zamyśliliście się.

— Darujcie.

— Nic... nic... — odpowiedział Piersohn protekcyjnalnie: I ot co, wszyscy zaraz przejdą do salonu i wy zagrajcie jakiegoś marsza.

Ten pomysł wszystkim bardzo się spodobał. Śmieli się. Na czele kroczył żyd z brylantem w pierścieniu, żona jego, i „dziecię“ i niektórzy goście.

Rozmowa zmieniała się różnemi głosami. To dawał się słyszeć gruby bas, to śmiech dziewczęcy, to ochrypliły głos staruszki i wesoły, młody głos Sieroży.

Do gości nie odwróciłem się. Grałem w dalszym ciągu marsza, z mocą uderzając w klawisze, potem zagrałem ciszej, delikatniej i przeszedłem na lekką melodję, odpowiednią do danej chwili. Jedni z gości rozsiedli się na otomanie i fotelach, inni stali na boku i rozmawiali. Ma się rozumieć, że mną nikt się nie witał.

Szymon Isaicz podszedł z komisarzem do fortepianu i, poklepuwszy mnie po plecach, rzekł:

— Zuch!

Kim się zachwycąłem, to Marią Romanówną. Przeszła obok mnie. Nawet nie spojrzała. Nie widzieć mnie nie mogła. Domyślałem się. Chciałem sprawdzić siebie. Czy nie myliła się, że to byłem rzeczywiście ja. W nowem ubraniu mnie nie widziała. I oprócz tego, dała mi do zrozumienia, że zgadza się z mojem postanowieniem z nikim nie rozmawiać i nikogo nie poznawać. Ksienia mnie zaraz poznała, lecz wyniośle podniósłszy swą ładną główkę, nie powiedziała do mnie ani słowa, uważając, prawdopodobnie, za nieprzyzwoitość zawierać znajomość z jakimś tam taperem.

Przy fortepianie stanęli żyd z pierścieniem i jego sąsiad przy stole. Ma się rozumieć, wszystko co oni mówili, słyszałem.

— Ach, Boże mój, — mówił sąsiad: Przyczepili się oni do tego, że ja rzeczywiście był radcą stanu. Mówię im, że nigdy nie uznawał tego tytułu. Na co on mi potrzebny?.. Jam profesor... I wiecie, jam zawsze należał do lewicy. Ja bardzo współczuję...

Dalej nie dosłyszałem, co on mówił. W salo-

nie robiło się gwarnie. Mówił, jakoby się z czegoś tłumaczyć.

— Ja im mówię. Dobrze, z przyjemnością będą wam wyklądać. Lecz im nie jest potrzebne prawo rzymskie. Cóż ja mogę robić, jeżeli z wykształcenia jestem prawnikiem. Pokazałem im wszystkie moje prace. Umyślnie wszystkie zebrałem i im przyniosłem... A oni nawet nie zwrócili uwagi. Wy wiecie, umyślnie czytam codziennie ich gazety i ściśle wypełniam wszystkie ich dekrety. Siedzę przy bramie, rąbię lód. Zupełnie jestem lojalny. Tak... tak... Zapomniałem wam powiedzieć, że kiedy oni zabronili mieć dwie pary butów, sam im odniosłem swoje nowe, a stare pozostawiłem sobie.

— Nu, to to wy niepotrzebnie...

— Chcę im donieść, że...

Znów nie dosłyszałem. Śmiała się głośno Ksienia. Palce moje rozhulały się i grałem, nie przestając, prawie machinalnie.

Ten w dalszym ciągu się skarżył. Opowiadał, jak z rodziną żył bogato, jak wszystko stracił i że teraz jest mu bardzo trudno.

Teraz pracuje w jakimś urzędzie, czy to Rabkrin, czy to Krinrab — zapomniałem.

— I znakomicie, prawie bez błędu, piszę według nowej ortografii. Służy tam u nas senator Ragozin, rzeczywisty tajny radca Czaplin... Pensji teraz oddawna nie płacą. Lecz mimo to otrzymuję deputat... Przecież jestem u nich na urzędzie, i nie powinni się do mnie przyczepiać. Lecz my bardzo głodujemy...

Znow przerwa. Cieszyłem się, kiedy nie słyszałem jego głosu, sprzykrzył się. Wciąż jedno i to samo.

— Papol..

Do tego jegomościa podeszła Ksienia. Daleki byłem od myśli, że ten pan był mężem Marji Romanówny. Nawet drgnąłem.

— Mógłbym i buchalterję... Poczekaj, Ksienia, Nie przeszkadzaj... Rozmawiamy o interesach...

Lecz żyd skorzystał z tego, że do jego rozmówcy podeszła córka i odszedł. Widocznie i jemu sprzykrzył się ten jegomość ze swoimi skargami i prośbami.

Ksienia zadała jakieś nieznaczące zapytanie. Chciała odejść, ojciec zatrzymał ją.

— Ksienia, powiedz matce, żeby była uprzejmiejszą dla Szymona Isaicza...

— Dobrze.

Mansurow pozostał sam. Żałośliwie, z jakimś pełnym unizoności uśmiechem patrzył na gości. Nie wiedział, do kogo ma podejść. Słyszałem o Mansurowie. Był to wybitny prawnik. Jeżeli się nie mylę, był radcą prawnym przy jakimś ministerstwie. Cieszył się opinią skrajnego monarchisty, i omal że nie jemu nawet studenci urządzili skandal na jednym z wykładów. Lecz książki jego, jak wiedziałem, były uznawane i uważane były za cenną zdobycz naukową. Mówiono także o nim, jako o znakomitym mówcy.

Długo stał samotnie.

— Być może, chcecie odpocząć? — zaproponował mi Szymon Isaicz: przyjdźcie do jadalni.

— Dziękuję panu.

W jadalni nie było nikogo. Róża i Maszka sprzątały nakrycie. Róża proponowała mi herbaty. Nalała szklankę i postawiła śmietankę. Za wino podziękowałem.

Róża bardzo uprzejmie troszczyła się o mnie. Nawet Maszka przysunęła mi talerz z ciastem.

— Jedzcie.

W milczeniu piłem herbatę. Było nudno. Nie mając co robić rozglądałem się po tak mi znanym pokoju i spojrzenie moje wypadkowo upadło na okno. Tam leżał znany mi album.

☞ Jakie przerażenie! Tam były fotografie moje, Józefa i Wołodi. Jak nikt nie domyślił się, ażeby je przejrzeć? Kiedy Maszka i Róża wyszły z jadalni, szybko podeszłem do okna, wziąłem album i zacząłem je przeglądać. Tak jest. Zręcznie wyciągnąłem fotografie z albumu i schowałem do kieszeni. Więcej nikogo nie było tam z tych, czyje fotografie mogłyby naprowadzić na nasz ślad. Usiadłem znowu na swoim miejscu.

Ma się rozumieć, mnie można było poznać z wielkim trudem. Chuda, podłużna twarz wygolona. Włosy również były krótko ostrzyżone z przedziałkiem. Byłem podobny, również jak brat mój Józef do angielskiego dandysa w dobrym znaczeniu tego słowa. Takie twarze trafiały się u rosjan w rodzinach szlacheckich. Była w nich rasowość, lecz dawnych czasów, która potem stopniowo znikła. Mogły mnie zdradzić jedne oczy. Choć w czasie choroby i one u mnie bardzo ucierpiały.

Wydostałem skądś okulary i teraz mogę czytać. Nie nosiłem ich ciągle dla tego, że złamała się oprawa i zmuszony byłem związywać je nitką.

Ktoś wszedł do jadalni. Poczulem, że to Sieroża. Tymczasem głowy umyślnie nie podnosiłem. Dałem mu kilka minut na to, ażeby zdążył zdziwić się, drgnąć, zblednąć i obmyśleć, co powinien zrobić. Pomyślałem: no, teraz dosyć.

Podniosłem głowę i spokojnie, nie zmieniając ani pozy, ani wyrazu twarzy, zupełnie obojętnym wzrokiem popatrzałem na niego.

Obliczyłem nie zupełnie ściśle. Sieroża nie

tylko nie zdążył przez te schody uspokoić się, lecz nie minęły u niego jeszcze ani przerażenie, ani trupia bladeść.

Wiedziałem, że był on w mojej władzy. Ja mogłem stracić tylko swoje życie, a on swoją pomyślność. O, jak ona była drogą dla niego!

Sieroża popatrzał na prawo, na lewo. Zupełnie, jakby szukał czegoś.

— Pan co? — spytałem go.

— N.. nie... Nic... Chciałem spytać... Tam gorąco... Chciałbym się napić...

— Niech pan zadzwoni.

— Dziękuję panu.

Zaczęły się tańce. O tem, że wszyscy chcą się zabawić, zakomunikował mi Szymon Isaicz.

Zagrałem walca. Na nikogo nie patrzałem. Wiedziałem tylko na pewno, że Marja Romanówna nie tańczyła. Możliwe, że ją namawiali. Przekonywał nawet jej mąż, lecz kategorycznie odmówiła.

Nie mogła tańczyć.

Nie mogła tańczyć, kiedy w domu był nieboszczyk.

Tłumaczyłem ją, że przyszła z wizytą do Szymona Isaicza. Możliwe, że z powodu córki zmuszona była przyjść. Lecz nigdzie nie mogła tańczyć.

Nigdzie, gdyż w rodzinnym jej domu był nieboszczyk.

— Co takiego? O jakim nieboszczyku wy mówicie?...

Szymon Isaicz patrzył na mnie ze zdziwieniem.

Natychmiast odzyskałem równowagę. Uśmiechnąłem się. Nawet lekko roześmiałem się.



— Ja po cichu nuciłem motyw i zacząłem przypominać sobie, jakie rymy są na czyk... chłopczyk... bluszczyk... lubczyk... nieboszczyk...

— Ach tak!... Ot co...

Roześmiał się również i odszedł.

Ma się rozumieć, niedość dowcipnie wykreśliłem się z głupiej sytuacji, w jaką wypadkowo wpadłem, lecz okazało się, że cel był osiągnięty. Wszystko skończyło się pomyślnie. Mogło być gorzej.

— Zagrajcie cośkolwiek takiego...

Okazało się, że żyd z pierścieniem chciał pokazać, jak tańczy jego malutka córeczka. Oddawna już zauważyłem dziewczynkę, lecz do tej chwili siedziała ona na boku ze swoją matką i w tańcach ogólnych nie brała udziału.

Teraz dziewczynkę wyprowadzono na środek salonu. Patrząc na dziewczynkę, zagrałem, i ona, podniósłszy rączki, zaczęła się kręcić i robić pas.

Rodzice i goście byli zachwyceni.

— Dlaczego wy jesteście naraz tak rozstrojeni?

— O nie. Dziś jestem w bardzo dobrym usposobieniu.

Sieroża i Ksienia przeszli obok mnie, posłyszałem tylko te dwa zdania.

Piersohn nie należał do ludzi bardzo pomysłowych. Ani on, ani goście nie wiedzieli, co mają robić, tymbardziej, że towarzystwo było bardzo mieszane. Zebrali się ludzie z różnymi interesami i różnymi poglądami na życie. Cóż to obchodziło żyda, że jakiś tam profesor, rzeczywisty radca stanu, słodował, co mogło być wspólnego między Gajłą Anisimyczem a Marią Romanowną.

Dobrze, że wspomniałem. Gawriła Anisimycz, cywilny mąż mojej siostrzenicy podszedł do mnie. Nawet wziął i usiadł obok.

— No, zuch... Tyś, towarzyszu, prawdziwy muzykant. Ot, to ja ciebie rozumiem. To ja rozumiem. I jak to u ciebie wszystko wychodzi... Jak ty wszystko prowadzisz... Sieroża!

Zbliżył się Sieroża.

— Oto ja mówię, jak on to wszystko zdrowo... Moja żona też jest wielką muzykantką... Jego siostra... Znakomicie gra. I głośno umie. Jednak nie jest to tak... Ona z nut wali. Z nut cóż... Jakaż to jest muzyka... Wyuczył się nut i wali... Z nut to zupełnie jak na katarynce. Tam się tylko korbą kręci, a tu rękami prowadzi... A ty, znaczy się wprost... Graj, co chcesz. To zupełnie co innego! Szkoda, wielka szkoda, że ona nie przyszła... Teraz jest w ciąży. Chodzić po schodach niebezpiecznie. W domu siedzi. A oto, żeby ona ciebie posłuchała.

Robiłem minę, że jestem bardzo zachwycony, słysząc taką opinię o mojej grze... Sieroża również starał się przybrać minę, że zainteresował go ten nieznany mu taper. Podszedł pan Piersohn. Szczycił się tem, że znalazł takiego muzykanta, który zadowolnił jego gości. Przy mnie zaczęła tworzyć się grupa. Jakaś dama spytała, czy umiem akompanjować, i przy moim akompanjamencie zaśpiewała romans Czajkowskiego...

Prosili o zaśpiewanie jeszcze i jeszcze. Piersohn wziął paczkę nut, położył je na fortepianie i wybierał te romanse i sztuczki muzykalne, które dla czegoś wydawały mu się najbardziej interesującymi.

Nie mogłem się powstrzymać od popełnienia pewnego zuchwalstwa. Zagrałem „Chawę”. Żydzi zaczęli śpiewać chórem. W drzwiach pokazała się Maszka, potem Róża i z tyłu za nimi Iwan Terentjicz.

Żart mój mógł zrozumieć jeden tylko Sie-

roża. Kiedy przychodził z wizytą do Wołodi i byłem u nich ja z Józefem, to najlepszym naszym numerem było wykonanie „Chawe“. Ja grałem na fortepianie, a oni we trzech wyobrażali żydów. Wetknawszy wielkie palce pod pachy, wykonywali przeróżne komiczne ruchy, pas, grymasy w tym samym salonie.

Łydzi śpiewali uroczyście, „z apetytem“, jak mimowoli przyszło mi do głowy to porównanie. Zwróciłem głowę w stronę Sieroży. Stał blady. Gryzł usta. Prawie natychmiast zaczął się żegnać. Gawryła Anisimycz, Piersohn i Ksienia „błagali“ go, aby pozostał.

Lecz wszystko jedno. Czas było już się rozchodzić. Szymon Isaicz zawiadomił, że dostał dziś łożę do teatru Maryjskiego.

— Na Szalapina...

Zaprosił do łoży komisarza, Gawryłę Anisimycza, Ksienię i Sierożę.

— To na sześć osób. Być może, pani nie odmówi pojechać z nami? — zaproponował Marji Romanównie.

Podziękowała, lecz propozycji nie przyjęła.

— Ja również zamierzałem odejść. Piersohn spiesznie wyjął z portfela kilka papierków... potem pomyślał. Dołożył jeszcze dwa i uroczyście przy wszystkich wręczył mi pieniądze.

Akurat Róża przechodziła przez salon, niosąc obierki od jabłek.

— Róża, — krzyknął Piersohn: weź ze stołu coś takiego i zrób dla niego paczkę.

— Idziemy, — szepnęła do mnie miła Róża.

Wyjęła z kredensu torty, ciasto i inne słodkie herbaciane, odłożyła wszystkiego nie skąpiąc i akuratnie ułożyła w wielkiem pudełku kartonowym, które leżało na kredensie.

Była już ósma godzina. Chociaż dnia i przybywało, lecz było to mało widoczne. Ledwie zaczęło ocieplać się, i lekka mgła ogrzewała, jak wata, ziemię.

Żyd z pierścieniem odjechał samochodem. Goście szli grupami. Szli nie trotuarem, a środkiem ulicy. Wyszli i Mamsurowy. Szli oddzielnie. Zwolniłem kroku i jakby przypadkowo znalazłem się przy nich.

— Fiedor Ignatjicz, pozwól ci przedstawić Pawła Wasiljewicza Woltera.

— Bardzo przyjemnie.

Rzekł to machinalnie. Machinalnie wyciągnął rękę, lecz zobaczywszy mnie, zdumiał się. Szybko cofnął rękę. Nachmurzył się.

Mansurow był w kortowym palcie, przewiązanem, jak paskiem, zwykłym sznurkiem. Miał na sobie szalik.

— Pan wybaczy Pawle Wasiljewiczu, — zwróciła się do mnie Marja Romanowna — mąż mój jest wielkim krótkowidzem i potrafi li tylko rozróżniać komunistów i żydów.

— Proszę cię, ażebyś ze mną tak nie mówiła... I potem, czyby nie można trochę ciszej. Ciebie mogą usłyszeć... Wogóle tyś bardzo nieostrożna. Tyś powinna zrozumieć, że tu słyszą nawet mury domów.

Wziął Marję Romanównę za rękę i cokolwiek odprowadził na bok. Dosłyszałem tylko:

— A ty wiesz, z kim mnie zaznajamiasz?...

— Nie podziękowałam ci jeszcze za znajomość z panem Piersohnem.

— A cóż?...

Marja Romanowna spojrzała na mnie. Zrozumiałem jej myśl. Prosiła mnie, ażebym nie odchodził. I znów znaleźliśmy się razem.

— A cóż?... Takich ludzi, jak Piersohn, trzeba szanować. Zlituj się, toć on jeszcze niema dwudziestu pięciu lat, a jak on się dobrze urządził. On tak zarabia, jak nikt. Człowiek interesu. Prawdziwy człowiek interesu... I ja przed takimi ludźmi pochylam czoło... On takie wielkie interesy robi... Wiele o nim słyszałem. I jak dobrze, że byliśmy u niego. Ty wiesz, on mi powiedział, żebym pomówił z jego współnikiem... Tyś widziała?... Gruby taki... I ja już zarzuciłem haczyk. Bardzo możliwe, że mnie weźmie do swego biura... Trzeba tylko jeszcze raz przypomnieć Szymonowi Isaiczu, ażeby szepnął za mną słówko. Jak ty myślisz?... Być może, ty sama najlepiej powiesz o mnie. Tak... tak... Zapomniałem powiedzieć, że teraz bardzo dobrze piszę według nowej ortografii...

Marja Romanowna milczała. Jakby chciała żebym w zupełności poznał jej męża. Lecz mi wystarczyła i ta mimowolnie podsłuchana rozmowa, jaką prowadził z żydem. Mąż Marji Romanowny był dla mnie wyraźny, jak kupa nawozu, która leżała przy trotuarze i była oświetloną przez latarnię.

— A jakie smaczne ciasto było u niego... Dawno takiego nie jadłem.

Podeszliśmy do tego domu, gdzie mieszkali Mansurowy.

— Być może, Paweł Wasiljewicz, pan nie odmówi i zechce zająć do nas na chwilę? Pan jest wolny?...

— Dziękuję pani... Do dziewiątej jestem wolny. Dziś znów gram na wieczorze.

Mansurow był niezadowolony, lecz nie przydawałem temu żadnego znaczenia. Przeszliśmy przez podwórze. Zaczęliśmy wchodzić po ciemnych,

brudnych schodach. Marja Romanowna postukała we drzwi. Otworzył marynarz.

Trzeba było iść zakrętami korytarza. W końcu schody prowadziły do góry o jakieś dziesięć stopni. I tam na niewielkiej platformie było dwie drzwi, jedno naprzeciwko drugich. Urządzenie mieszkania było do nieprawdopodobieństwa dziwne.

Marja Romanowna otworzyła drzwi na lewo.

— Pan tam zdejmie swoje palto, bo tu jeszcze ukradną. Ja zaraz...

Otworzyła drzwi po prawej stronie i znikła.

Fiedor Ignatjicz długo się mordował z zapalnikami. Pocierał je. Narzekał i wymyślał. Wreszcie jakaś zapalka zapaliła się, i udało mu się zapalić lampę.

Zdjąłem palto i pwiesiłem je na gwoździu przy drzwiach. Fiedor Ignatjicz również zdjął swoje palto i rzucił na łóżko.

— Z początku zajmowaliśmy całe mieszkanie, a potem wprowadzili do nas marynarzy. Mówią nawet, że nas wszystkich skąd wysiedlą i tą dzielnicę oddadzą marynarzom. Tu ich wielu mieszka. Nam zabrali pokoje frontowe, a nam te dali. Dobrze jeszcze, że dwa dali. Mogli do jednego wprowadzić. Tu dwóch mieszka. Jeden kawaler, drugi z rodziną. Niczego są ludzie. Trzeba tylko umieć radzić sobie z nimi... Dużo dostają. Mają dobry deputat... Niekiedy sprzedają nam. Żona traktuje ich trochę z góry. Oni tego nie lubią... Ja żonie często mówię, żeby zachowywała się prościej... Eh, kobiety, kobiety!... Dziś za nic nie chciała iść do Szymona Isaicza. A nie rozumie tego, jak to jest ważne dla mnie. O!...

I podniósł palec do góry. Potem uśmiechnął się.

— Przynajmniej dziś najadłem się dowoli i paliłem prawdziwe papierosy...

Przypomniałem sobie, że mam w kieszeni papierosy. Wyjąłem je i poczęstowałem Mansurowa.

Ucieszył się.

— Nie odmówię.

Zaczął zapalać nad lampą.

— I te bardzo dobre.

— Niech pan bierze, ja nie palę.

— A poco pan je z sobą nosi?

— Zamiast portfelu z pieniędzmi. Za papierosa można więcej kupić niż za pieniądze.

— To prawda... prawda, — rzekł spiesźnie Mansurow, nie zrozumiałwszy mej myśli.

Przygotowywałem dla Fiedora Ignatjicza nowy cios. Niespostrzeżenie przeszedłem na deputaty.

— W tym stosunku to ja jestem szczęśliwy.

— A co takiego?...

Opowiedziałem mu, jaki deputat otrzymuję za służbę moją u marynarzy i jaki dostałem dodatkowo za pierwsze cztery dny tygodnia ostatków. Nie kłamałem. Rzeczywiście, po każdym balu, na którym grałem, wynagradzali mnie takimi deputatami, że mógł ich pozazdrościć pierwszy lepszy komisarz. Za każdym razem wynosiłem z wieczora pełny worek. Już przyzwyczailem się do deputatów, i niania, za każdym razem, kiedy wychodziłem na wieczór, przygotowywała woreczki na cukier, sól, kaszę, suche korzenie, i papier na mięso, śledzie i inną „mokrą“ prowizję...

— A oto, jeżeli pan ma dużo papierosów, to może pan mnie ustąpi.

Fiedor Ignatjicz rozmiękł. Kiedy wyliczałem to, co otrzymywałem, oczy jego płonęły, żuł usta-

mi i słodko uśmiechał się, wyobrażając sobie, co by z nim się działo, gdyby sam otrzymał takie deputaty.

— A pan wie jaką zręczną sztukę urządził Szymon Isaicz.. On ma teraz konbaze.. To znaczy trzyma on konie.. To mu daje miliony.. Itrzymma trzydziestu furmanów.. Otrzymuje dla nich deputat, a im połowę tylko wydaje. Wiele on zarabia. Niech pan tylko obliczył.. Zuch. A ci durnie czapki przed nim zdejmują i dziękują mu jeszcze: ojciec ty nasz.. dobroczyńca..

Roześmiał się. Z chichotem ciągnął dalej:

— A jeszcze.. Patrzy, co przewożą.. Sam o czwartej rano wstaje.. Ile on z wozów do siebie odwozi, trudno powiedzieć.. To ja właśnie rozumiem.

Zaczęły się potem zwykłe skargi, szeptem wspominał dawne czasy, i nawet zdecydował się spytać:

— A jak pan myśli, długo się jeszcze oni przetrzymają.

Usłyszałem, jakby ktoś przebiegł po schodach. Trzasnęły drzwi. Krzyk.. A! Głos Ksieni.

— W czymżeż ja pójde do teatru?..

Głosu Marji Romanowny prawie że nie było słychać.

— Tyś obowiązana.. Co takiego?.. Ty mi tu gadaj jeszcze!..

Obie stały na platformie przy naszych drzwiach. Widziałem nawet ich twarze, oświetlone lampką elektryczną z korytarza.

— A ja pluje na to, że on obcy.. No?..

Marja Romanowna milczała.

— Ja teraz mam wielu różnych komunistów znajomych.. Nawet czekistów. Ja znam samego Łaposzyna. Oto im opowiem o tobie, jak ty się

z córką obchodzisz. Oni ciebie nauczają. Posiedzisz na Grochowej. Poczekaj!.. Ja nie będę się krępować.

Fiedor Ignatjewicz przestraszył się. Podbiegł do córki.

— Na miłość Boską!.. Ksienia... Nie mów im nic. Jeszcze dowiedzą się, kim byłem. Oni mnie zgubią.

Marja Romanowna odeszła do swego pokoju. Zamknęła za sobą drzwi. Przekreśliła klucz.

— A co ona dla mnie za matka? Przyjdę jeść, djabli wiedzą, czem karmi. Proszę o nowe pończochy... Nie, mówi. Kłamiel... Na sprzedaż!..

Pogroziła pięścią w stronę drzwi.

— Ja i o tem powiem...

— Milcz... milcz, na miłość Boga... No chcesz?... Ja wiem, gdzie są schowane te pończochy... ja ci jedno wezmę...

— Ja z nią jeszcze pogadam...

I Ksienia zaczęła pisać i walić pięściami w drzwi...

— Otwórz... A?... Nie chcesz?... Kanaj!..

Ksienia dopięła swego. Marja Romanowna otworzyła drzwi.

— Czego chcesz, Ksieniu? — spytała łagodnie.

— Pończochy.

Marja Romanowna stała w drzwiach. Ksienia pomyślała, że nie chce jej wpuścić, i z siłą pchnęła matkę.

— Ksienia! Opamiętaj się.

Wyciągnęła do niej rękę.

Ksienia z całego rozmachu uderzyła matkę w rękę.

— Oto masz... bierz...

Podbiegłem do Mansurowej. Chciałem ją zasłonić przed drugim uderzeniem. To mi się udało. Lecz Ksienia nie przewidziała tego. Jednocześnie z uderzeniem chciała kopnąć matkę. Kopnęła w powietrze. Nie utrzymała się. Przewróciła się na podłogę.

Rozpaczliwie zapiszczała:

— Na pomoc... na pomoc!... Biją mnie.

Fiedor Ignatjicz był w rozpacz. Przybiegli marynarze i jakaś baba.

Wszyscy rzucili się z wymysłami na Marję Romanownę.

— Czy to widziane, ażeby matka rodzoną córkę biła.

— Nie takie teraz czasy.

Ksienia zerwała się. Z czerwoną, wykrzywioną ze złości twarzą, zwróciła się do Marji Romanowny. Zaciśnęła pięści.

— No, teraz ty u mnie poczekaj tylko!... Kanałjo!...

I ucichła. Fiedor Ignatjicz pobiegł za nią.

— Ksienia!... Ksienia!... Na miłość Boga...

Marja Romanowna poszła do swego pokoju. Poszli i świadkowie.

— Codziennie tak jest u nich.

Stałem samotnie. Nie wiedziałem, co robić. Obawiałem się, że Marji Romanownie zrobiło się niedobrze. W pokoju jej panowała cisza.

Zajrzałem.

Marja Romanowna klęczała i modliła się.

Cicho podszedłem do niej. Poglaskałem ją po głowie.

— Bliską mi jesteś, panil...

4. Wielkie wypadki.

Nadszedł Wielki Post. Akuratnie uczęszczałem na wszystkie nabożeństwa. W cerkwi ludzie zbierało się dość dużo. Nie chciałem wchodzić w oczy znajomym, i modliłem się zwykle w zakrystji, za wielkim obrazem. Przychodziła Maszka z Iwanem Terentjiczem. Bywał i Ładnow. Lecz najbardziej niezrozumiałem dla mnie było to, że bardzo akuratnie uczęszczał do cerkwi ten marynarz, który przeszedł na wiarę żydowską i nawet dał wykonać na sobie obowiązkowy rytuał. To, jakiem słyszał nie raz, dawało powód do drwin z niego zarówno ze strony kolegów, jak i Ksieni. Bardzo, gorliwie modlił się i Fiedor Ignatjicz. Lecz przychodził sam. Marja Romanowna przychodziła nie z nim razem i stawiała oddzielnie. Na boku. Ksieni nie widziałem w cerkwi ani razu.

Po nabożeństwie wracaliśmy wszyscy troje do domu i piliśmy herbatę. Niekiedy niania zapraszała i Marję Romanownę. Ojciec Aleksander dla czegoś krępował się bardzo chodzić do nas. Odmaawiał przyjmowania obiadów i z wielkim trudem udało się wręczać mu chleb i część deputatu.

— I tak przeżyjemy, — mówił. I szczerze mówiąc, nie z dobrego miejsca ten deputat. Pan pracuje u nich, i otrzymuje go za swoją pracę... Nie będę pana sądzić. A ja co mam z tem wspólnego? To zupełnie inna rzecz. Ojciec Cyryl otrzymuje od pana i korzysta z pańskich produktów za to, że pan u niego mieszka... jakby za mieszkanie. A ja z jakiego powodu będę przyjmować od pana? Zrobię co, zapłacicie... Ani słowa nie powiem. No, choćby drzewo wam, czy co rąbać...

— Potem ojciec odpłaci...

— Kiedy tam potem? Ot żona w bibliotece pracuje, cokolwiek dostaje, i przeżyjemy...

Uporczywie stał przy swoim. Niekiedy tylko brał karmelek do hezbaty.

— To już poczęstunek.

Najwięcej nieprzyjemności dostarczała nam stróżka.

Jakiem się dowiedział, była ona zirytowana na ojca Aleksandra za to, że ten wprost powiedział jej po zniknięciu z cerkwi sukni.

— Nikt inny nie popełnił tego grzechu, jak tylko Iwan.

Ojciec Aleksander miał na to proste dowody. Po zaginięciu sukienki bardziej cenne rzeczy schował w innem miejscu. Lecz w tej samej cerkwi, tylko że w schowanku na górze. Iwan, nic nie wiedząc o tem, polazł znów do kufra, ażeby cokolwiek ściągnąć, lecz nic nie znalazłszy, powziął podejrzenie, że ojciec Aleksander wszystko wziął sobie. Tymbardziej, że widział sam, jak ten wychodził z cerkwi z paką. Potem z żoną zauważyli mnie. Zdziwiło ich to, skąd ja mam tak dużo i chleba i wszelkiej prowizji, i zdecydowali, że ojciec Aleksander wszystko wynosi z cerkwi, co jest bardziej cenne, a ja to spuszczam Piersohnowi. Właśnie jemu, gdyż wszystkim stało się wiadomem, że wszystkie ikony od księżniczki zabrał sobie. Ktoś widział, jakim przechodził przez podwórze tego domu, w którym mieszkał Piersohn. Wszystko to właśnie spowodowało myśl nakrycia nas i stróżka doniosła o nas, gdzie należy. Podczas rewizji bardzo nalegała na to, ażeby skopać ziemię wokoło domu, czy nie zakopałem w ziemi kosztowności. Ze zaś jednak czekał u nas nic nie znaleźli, coby mogło potwierdzić donos stróżki, nie zaczęli zatem

kopać ziemi wokoło domu, a zadowolnili się tem, że popsuli w naszym mieszkaniu meble i rzeczy.

Stróża Sawelja i jego żonę pochowaliśmy i o tyle przyzwolicie, że nie wydawało się, że umarli oni z głodu i w nędzy zupełnej. Lecz z Iwanem i żoną jego rozpoczęła się głucha walka. Prawie natychmiast, jak tylko pochowaliśmy Sawelja, do mieszkania jego wprowadził się marynarz, którego żona Iwana nazywała kumem. Poczuli się na siłach. Stosunek do nas zmienił się odrazu i do najwyższego stopnia obostrzył. Stróżka nie łakomiła się już więcej na mój deputat.

— Pluję na wasz deputat, — powiedziała mi razu pewnego.

Nie kłaniali się nam. Iwan przychodził do cerkwi tylko wtedy, kiedy mu się spodobało. Zajęcia swoje traktował niedbale. Kilkakrotnie usiłował pozostać w cerkwi po nieszporach lub nabożeństwie nocnem, powołując się na pilną pracę, lecz po tym wypadku na to mu nie pozwalano. Lub też pozostawał z nim ktokolwiek z nas. Iwan irytował się, lecz nie mógł nic poradzić. Wyrażnem było, że kradł. Razu pewnego ojcu Aleksandrowi wydało się podejrzanem, że Iwan długo jeszcze siedział w cerkwi po nabożeństwie, i zajrzał tam. Iwan chodził po cerkwi w czapce i palił papierosy. Ojciec Aleksander i ojciec Cyryl długo naradzali się, omawiając ten wypadek. Postanowili uwolnić Iwana i pozbawić go mieszkania, lecz ponieśli zupełną porażkę. W obronie jego stanął kum. Okazało się, że był on komunistą — czekistą, i dość było jednego słowa, ażeby...

— Wszyscy wy polecicie do djabła!...

Iwan często prowadził kuma do cerkwi. I to wydało mi się podejrzanem.

Wogóle Iwan odniósł nad nami zupełne zwy-

cięstwo. Znaleźliśmy człowieka, który pomagał ojcu Aleksandrowi i wogóle spełniał obowiązki stróża, lecz Iwan tumańczył go, jak mógł. Był to gimnazysta, lat szesnastu, jak mnie się zdawało z dobrej rodziny. Nazywano go Wasią. Chłopiec przychodził niezadługo przed nabożeństwem do ojca Cyryla i z nim razem szedł do cerkwi. Pracownik był zdumiewający. Cicho, prawie niedosłyszalnie wykonywał swą pracę, z zamiłowaniem traktując wszystko, co powinien był wykonać. Mieszkał w pobliżu z matką swoją i siostrą. Żywiłem go, poilem herbatą z chlebem i codziennie dawałem mu część mego deputatu. Wasia był szczęśliwy. Chciwy wiedzy, rozumny i niezwykle nieśmiały. Gimnazjum musiał porzucić, gdyż matka i siostra żyły wyłącznie z jego zarobków. Matka jego była bardzo chorowita, a siostra zbyt mała.

W ten sposób układało się życie. Z pozorów zewnętrznych to życie wydawało się małym, szarem, z drobnymi dobrobytem pod postacią mego deputatu.

Iwan, żona jego i kum uważali się za gospodarzy w cerkwi i w całym ogrodzeniu. Nie wiem, o ile były prawdziwymi ich pogroźki, że, na wypadek czego, kum powie komu należy, co trzeba, lecz w każdym razie nie czuliśmy się zupełnie spokojnie.

Nie uczuwalimy potrzeby. Zatrzaszczyłem się i o drzewo. Wasia gdzieś wystarał się o sanki. Udałem się z Wasią za dworzec Mikołajewski i tam, daleko za szynami, wziąłem belki, już pocięte, i przywiozłem je. W domu rozpiłowaliśmy je z Wasią i porabaliśmy. Piłę i topór Wasia przynosił ze sobą. Zrobiliśmy to parokrotnie z wielkim powodzeniem, choć nie powiem, ażeby ta podróż należała do łatwych. Sanki były dość ciężkie i wraca-

liśmy porządnie zmęczeni. Wasia prosił o pozwolenie zabierania dla siebie kilku polan. Miał na to zupełne prawo.

Powtarzam, że w ostatki przyniosłem do domu tyle różnej prowizji, że mogło jej wystarczyć na czas bardzo długi. Wielką radość sprawiło nam to, że przyniosłem w deputacie białą mąkę i nawet butelkę czerwonego wina. Wielka wdzięczność należy się za to Iwanu Terentjiczu, który wydestał tę butelkę specjalnie dla mnie. Wino oddałem ojcu Aleksandrowi do komunji, a niania z mąki napiekła malutkie opłatki. Było to wielką radością i dla stałych parafjan soboru.

Zgodnie z niektórymi swoimi projektami, nie wtrącałem się do spraw cerkiewnych i trzymałem zupełnie zdala od życia cerkiewnego. Ma się rozumieć, wielu mnie widziało, lecz nikt nie wiedział nie tylko o tem, jaką rolę grałem w cerkwi, ale nawet o tem, że mieszkam u ojca Cyryla. Prosiłem, ażeby o tem nie mówiono. I wogóle nikomu nie opowiadałem o tem, kto jestem.

— I coś ty za człowiek, w żaden sposób ciebie zrozumieć nie mogę, — mówił mi często ojciec Cyryl.

W ostatki powracałem z bali niekiedy nad ranem. W tym roku jakoś szczególnie bawili się. Na wielu dużych wieczorkach widziałem Ksienię, Sierożę, moich znajomych marynarzy. Na jednym wieczorze była nawet Maszka. Wystroiła się z wielką elegancją. Iwan Terentjicz krążył przy niej, jak kogut, z dumnym i szczęśliwym uśmiechem.

Marji Romanowny nie widziałem. Do nas nie przychodziła.

Nie chciałem iść do niej po skandalu, jaki jej przy mnie wyprawiała Ksienia. Oprócz tego, nie miałem czasu. Wiele czasu zabierały mi wyprawy po

drzewo i spacery po dworcu Mikołajewskim, podwórzu i szynach, gdzie często spotykałem oficjalistów kolejowych. Bywałem tam w różnych porach dnia. Lecz wszystkie poszukiwania moje do czasu tego były bezowocne.

W trzecim tygodniu wielkiego postu, jakoś wczesnym rankiem, niespodziewanie dla wszystkich przyszła wiosna.

Śnieg tajał. Brudna woda to znikąca, wsiąkając w ziemię pod kamieniami i płytami, to tworzyła kałuże. Podobne one były jednak do rondli z wodą, postawionych na kominie. Unosiła się nad nimi para. Nie widać było sroży, którzy przedtem zgarniali miotłami kałuże do kanałów. Jedyny, zdaje się, człowiek wypełniał srogi dekret o czyszczeniu ulic, to — Fiedor Ignatjicz Mansurow. Pracował tak gorliwie miotłą, że nawet mnie nie zauważył. Lecz z gorliwości jego i postaci przeczytałem:

— Jeżeli „oni“ zobaczą, to pochwalą.

Ja i Wasia zajęliśmy się oczyszczeniem podwórza cerkiewnego i ogrodu, ażeby cerkiew nie tonęła w błocie i śmierdzących kałużach. Iwan, ma się rozumieć, nam nie pomagał.

Wszystko szło spokojnie, gdy naraz w czwartym tygodniu postu zaszły wielkie wypadki które w życiu mojem odegrały bardzo znaczną rolę. Niektóre wypadki były ważne same przez się, ważne dla swoich obserwacji, lecz... po co mówić przedwcześnie?..

Muszę uprzedzić, że czułem się znakomicie. Przez cały ten czas nie miałem ani razu mojego ataku. Głowa pracowała zupełnie dobrze. Nawet poczułem dopływ siły, i praca fizyczna nie nużyła mnie. Pomimo moich niepowodzeń w poszukiwaniu brata Józefa, nie traciłem otuchy i uporczy-

wie, z wyrobionym w ostatnich czasach spokojem szedłem do nakreślonego celu.

Ten czwarty tydzień był dla mnie fatalny. Wypadki, które nie miały zupełnie jakoby żadnego znaczenia, okazały się w następstwie nader ważnymi. Nadszedł czwarty tydzień. Został mnie przy sprzątaniu podwórza cerkiewnego. Razem z Wasią oczyszczałem ogród z gruzu i suchych liści, i nie wiedziałem, co w tej chwili do mnie się zbliżało. Tak w „życiu człowieka“ Leonida Andrejewa bohater, męczony przez głód, nie wiedział, że w tej chwili ludzie, nachyleni nad stołem, rozpatrują jego projekt, i jutro będzie on znakomitością, sławnym i bogatym.

I ja nie wiedziałem, że gdzieś, w jakimś pokoju, ktoś rozważał nad myślą swoją i przyszedł do nader ważnego i fatalnego wyniku. Do decyzji, która się odbiła na życiu mojem.

Kiedy oczyszczałem podwórze około naszego domu, przyszła mi do głowy myśl ukryć kosztowności i papiery, należące do niani, tak, ażeby ich przy najściślejszej rewizji nie mogli znaleźć. Przechodząc z miejsca na miejsca wybierałem i za trzymywałem się przy tych rogach i dołach, gdzie najwygodniej można było schować pudełko. Przygotowałem już pudełko żelazne. Wziąłem z cerkwi. Było tam zupełnie nie potrzebne i przewracało się ze wszystkimi innymi rzeczami, które już odslużyły swoje. Do tego pudełka, z wygiętą pokrywą, składano niegdyś ogarki świec woskowych. Wosk oblepiał wnętrze pudełka ze wszystkich stron, To było dobrze. Wosk zabezpieczał przed wodą i wilgocią. Potem znalazłem gałgan, przepojony tłuszczem. Znaczy się, miałem jeszcze i drugi przedmiot, niezbędny dla przechowania papierów.

Powodzenie szło za powodzeniem. Nawet nie powiedziałem niani przed czasem. To pudełko naprawiłem, o ile mogłem, i z gałganem wewnątrz ukryłem w pustej komórcie na schodach. Myśląc o tem, gdzieby ukryć to pudełko, mimowoli podniosłem głowę i bez celu popatrzyłem w głąb ogrodu. Z po za czarnych, przepojonych wodą pni drzew widniał krzyż grobowy.

Błysnęła mi naraz myśl.

Skorzystawszy z tego, że Wasia pracował gdzieś na boku, przedostałem się do pomników i obejrzałem je uważnie. W cokule jednego z pomników kamień boczny w miejscu połączenia odstawał cokolwiek od drugiego. Zapamiętałem to i znów zabrałem się do zwykłej roboty. Zdecydowałem w nocy bardziej szczegółowo obejrzeć ten kamień.

Wieczorem, po niesporach przyszła niania z Marią Romanowną. Odrazu zwróciłem uwagę na to, że zaszła w niej wielka zmiana. Zmiana we wszystkim. Przywitała się ze mną bardzo uprzejmie, lecz tak, jakby nie miała do mnie żadnego interesu. Nie to, żeby mnie nie zauważyła. Nie. Zupełnie, jakby była pochłoniętą swoją myślą i uporczywie nad nią rozmyślała, nie widząc nic wokoło siebie. Oprócz tego, przez ten czas, gdy się z nią nie widziałem, schudła znacznie. Twarz jej była blada. Nie zmizerowana skutkiem jakiegokolwiek choroby lub głodu, a pobladła od potężnej, trawiącej ją myśli. Odbiło się to i w jej oczach. Widziały one coś, czego ja nie widziałem. Patrzyły nie na mnie z nianią, a w przestrzeń, w punkt, który był daleko od nas. I w całej jej postaci i ruchach nie było dawnej pięknej godności, a zamieniała ją cicha i jeszcze bardziej piękna pokora. Natychmiast określiłem to jako pokorę i później

nie raz wspominałem tą chwilę naszego spotkania i mojego wrażenia.

Ucieszyłem się bardzo na widok Marji Romanowny, lecz natychmiast zrozumiałem, że wszelki choćby najrnniejszy objaw mojej radości byłby nie na miejscu.

— Chciałabym widzieć ojca Aleksandra, — rzekła.

— Wkrótce przyjedzie.

Jakiem zauważył, Marja Romanowna nie bardzo chciała prowadzić zwykłą rozmowę. Rozumiała, że byłoby śmiesznem siedzieć w milczeniu. Z pewną trudnością spytała mnie o coś zupełnie oderwanego i zadała kilka pytań bez znaczenia. Zauważyła, między innemi, że w nowem ubraniu wyglądam na zupełnie innego człowieka.

— Zresztą, nie wiem dlaczego, ale pana zawsze wyobrażam sobie w bardziej wytwornem ubraniu. Albo w smokingu, albo w mundurze.

Przeszedłem do swego pokoju i przyniosłem te fotografie, które wykradłem z mieszkania Pier-sohna.

Marja Romanowna ożywiła się. Nawet na jej policzkach wystąpił leciutki rumieniec. Uśmiechnęła się lekko.

— Al... To co innego... Tu właśnie jest pan takim, jakim go sobie wyobrażam.

Długo, nie zmieniając uśmiechu, patrzała na moją fotografię. Nie wiem dlaczego dałem Marji Romanownie i fotografię mego brata Józefa.

— Bardzo podobny do pana. Powiedziałabym nawet, że to pan w młodszym wieku, gdyby miał pan brodawkę.

Oddała mi fotografie z powrotem, jeszcze raz spojrzawszy na moją podobiznę. Wziąłem fotografie i chciałem je podrzeć. I natychmiast spalić

w piecu. Niebezpiecznem było trzymać je u siebie. Lecz Marja Romanowna natychmiast zrozumiała mój gest.

— Co pan robi?

Nie zdążyłem nawet naderwać fotografii, gdy zręcznie schwytała mnie za rękę.

— Niech pan je odda mnie.

— Poco?...

— Niech pan je odda mnie, — rzekła o tyle nakazującym tonem, że puściłem fotografie.

Marja Romanowna natychmiast schowała obie fotografie do swojej torebki. Nie dociekałem dalej, na co Marji Romanownie potrzebne były te fotografie. Zdecydowałem:

— Znaczy się, tak trzeba.

Akurat przyszedł ojciec Cyryl razem z ojcem Aleksandrem. Niania zdążyła mu już powiedzieć, że Marja Romanowna chciałaby go widzieć.

Marja Romanowna podeszła po błogosławieństwo.

— Pobłogosław, ojczy.

Pocałowała go w rękę.

— Pani chciała ze mną porozmawiać?

— Tak.

— Przejdziemy do mnie, — zaproponował ojciec Aleksander.

Marja Romanowna zaczęła zaprzeczać. Po pierwsza sprawa nie była tak pilną, powtóre ma czas wolny i nigdzie się nie spieszy, a po trzecie, co najgłówniejsze, ojciec Aleksander jest zmęczony, powinien odpocząć i napić się herbaty.

Wreszcie zdecydowali tak: napijemy się wszyscy herbaty i pozostawimy w gabinecie ojca Aleksandra razem z Marją Romanowną. Przyszedł i Wasia. Chłopiec ten tak wszedł w rolę stróża cerkiewnego, że nie uważał nawet za właściwe sie-

dzieć razem z djakonem, a tembardziej z duchownym w jednym pokoju, przy jednym stole. Lecz Marja Romanowna objęła go ręką w pól i posadziła obok siebie.

Wasia miał szesnasty rok, lecz był tak mało zepsuty, a nawet, prawdę mówiąc, zupełnie nie zepsuty, że trudno było nazywać go młodzieńcem. Było to jeszcze w całym znaczeniu tego słowa dziecko, chłopiec, chłopczyna. Nie był od tego, ażeby czasami nie podokazywać, nie spłatać figla, lecz bez niczyjej krzywdy, pożartować z nianią, a przede wszystkim urządzić harce ze swoją przyjaciółką Filką.

Filka też go polubiła, lecz mimo to nie zapominała i o mnie. Jeżeli pochłonięta była zabawą z Wasią, napewno myślała, że ja w tym czasie cierpię z zazdrości, ażeby uspokoić mój ból i gorycz, niekiedy na sekundę podchodziła do mnie. Polize rękę moją lub potrze się bokiem o but, i znów biegnie do Wasi.

Napiliśmy się herbaty. Przeszliśmy wszyscy do kuchni, pozostawiając ojca Aleksandra z Marją Romanówną.

Potem ojciec Cyryl, ja i Wasia wyszliśmy na podwórze i spacerowaliśmy około domu. Filka była bardzo zadowolona. Biegała, szczekała i witała wiosnę z wielkiem ożywieniem.

Przeszło więcej niż godzina. Marja Romanowna zeszła z ganku i spiesźnie skierowała się do wyjścia. Zauważywszy nas, tylko niżej pochyliła głowę. Zrozumieliśmy, że spytać ją lub nawet powiedzieć: „żegnamy“ było zbędne.

Wróciliśmy. Ojciec Aleksander siedział na fotelu przy stole. Ręką oparł się o stół i dłoń położył na czole. Obok niego stał fotel, na którym widocznie siedziała Marja Romanowna.

Z początku nie słyszał, jak weszliśmy. Potem odwrócił głowę. Powieki jego były zaczerwienione i po policzkach płynęły łzy. Druga ręka z chustką była opuszczona.

Wstał. Wytarł twarz chustką. Popatrzał na nas i cicho wyrzekł:

— Niech was Bóg błogosławi.

Powoli wyszedł z pokoju. Zauważyłem, że znów popłynęły mu łzy.

Wobec tego, że ojciec Cyryl i niania Fiedosja Finogenowna przywykli do tego, że prowadziłem nienormalny tryb życia, to powracając w nocy lub rano, to wychodząc w nocy (miałem swój klucz od mieszkania), wyjście moje tej nocy nie zaniepokoiło ich.

Przeszedłem do pomnika. Znalazłem zauważony przezemnie kamień prawie że poomacku. Przy pomocy siekierki udało mi się go oddzielić. Pod nim znów leżał kamień. Zacząłem podkopywać ziemię.

Praca była ciężka, powolna. Mimo to jednak szła dość spiesznie. Nie wiem, ile czasu straciłem przy tej robocie, lecz tej nocy zrobiłem bardzo dużo. Jeszcze noc i schowanko dla żelaznej skrzynki będzie gotowe. Ma się rozumieć, pracowałem z zachowaniem wszelkich ostrożności. Zakładając tafle marmuru, sprzątnąłem wszelkie ślady mej pracy tak, ażeby nie wzbudzić najmniejszego podejrzenia. Ziemię wyniosłem. Udeptałem nogami miejsce wokoło pomnika.

Do swego urzędu zachodziłem prawie że codziennie. Rozmawiałem, otrzymywałem deputaty i odnosiłem je do domu. Wynosiłem pod połą chleb i masło od Iwana Terentjicza z piekarni. Dużo oddawałem Wasi i ojcu Aleksandrowi. W ostatnich czasach zbliżyliśmy się z nim bardzo,

i nie był on już tak wrażliwy, jak przedtem. Ojciec Cyryl niekiedy, w te dni, kiedy ja szczególnie dużo przynosiłem chleba, prosił, ażeby dać mu „kawałek“ i gdzieś go zanośli. Potem rzekł:

— Dla biednej kobiety.

Po rewizji u nas poprosiłem komisarza, ażeby wydał mi dokumenty bardziej podstawowe, celem uniknięcia nieprzyjemności. Zgodził się na to chętnie. Tu zaszedł mały wypadek, który mnie zdumiał wielce w połączeniu z moimi projektami.

Podczas mojej rozmowy z komisarzem, wszedł jakiś marynarz.

— A cośmy, towarzysze, znaleźli...

I wyjął z kieszeni zupełnie nowy brauning i wręczył go komisarzowi. Potem wyciągnął z kieszeni pudełko z kulami do tego brauninga. W tym czasie weszło jeszcze kilka osób. Zaczęli brauning oglądać, chwalić. Jeden z marynarzy zajrzał do lufy.

— Jeszcze ani razu nie strzelano.

Stałem w tłumie. Widziałem, jak komisarz schował go i naboje do biurka.

— Pójdziemy tam. Tam wam wydadzą, — rzekł komisarz.

Wyszedł z gabinetu. Za nim wyszli wszyscy. Postanowiłem, żeby tam nie wiem co, ukraść ten rewolwer.

Kiedy przeszliśmy kilka kroków, wróciłem się, prześlizgnąłem się do gabinetu komisarza, otworzyłem szufladę i wziąłem rewolwer i naboje. Dopędziłem komisarza i jakby nigdy nic, zacząłem z nim rozmawiać. Lecz mimo to ryzykowałem. Komisarz mógł powrócić do gabinetu. Obowiązkowo otworzy przedewszystkiem szufladę. Nie dla sprawdzenia, czy tam jest rewolwer, a po to, aże-

by raz jeszcze popatrzeć na niego. Gdy tylko otrzymałem swoje papiery i powiedzieli mi, ażebym poszedł do drugiego pokoju, celem przyłożenia pieczęci, wyszedłem na korytarz i niedostrzeżalnie położyłem rewolwer i pudełko z nabojami za okno. Było zamalowane białą farbą. Rama rozbita. Było to fałszywe okno. Cokolwiek odsunąłem ramę i wsunąłem wewnątrz rewolwer z nabojami.

Rzeczywiście, ostrożność moja uratowała mnie. Komisarz, jakim się spodziewałem, natychmiast wszczął alarm, że zginął rewolwer. Krzyczał, awanturował się.

— Ja tego, kto ukradł rewolwer, zastrzełę, jak psa.

I napewno wykonałby swoją pogroźkę, gdyby złapał złodzieja.

— Wszystkich zrewidować! Zamknąć drzwi. Rewizja trwała dwie godziny.

— Trzeba będzie, towarzyszu, i was zrewidować, — zwrócił się do mnie.

Był przekonany zawczasu, że przy mnie nie było rewolweru. Takim zrozumiał, spojrzawszy w twarz jego. Zrewidowali mnie starannie.

— Oto szubrawiec! Oto łajdak! — wymyślał komisarz — czyżby uciekł?

Ma się rozumieć, rewolweru nie znaleźli. Następnego dnia, wychodząc z urzędu, z łatwością wydobyłem z poza ramy schowany tam przeze mnie rewolwer z nabojami i spokojnie zabrałem go do domu.

Tej nocy powinienem był schować blaszaną szkatułkę. Wyniosłem ją na podwórze, akuracie ułożyłem w niej wszystkie dokumenty, kosztowności i rewolwer. Zawinałem rewolwer szczególnie

starannie w tłusty gałgan, ażeby nie mógł zarzewieć a naboje zwilgotnieć.

Noc ta była szczególnie ciepła. W powietrzu unosiła się gesta mgła. Niekiedy wyglądał księżyc, i wydawało mi się, że na mgle odbijał się nawet mój cień. Było cicho. Miasto, a przynajmniej ta dzielnica, w której mieszkałem, spała snem ciężkim.

Z szkatułką podszedłem do pomnika. Położyłem szkatułkę na boku, ukucnąłem i odsunąłem kawałek granitu. Zacząłem wtłaczać w pusty otwór swą szkatułkę. Przeszkadzało troszkę umocowane na wierzchu szkatułki uszko. Lecz i ono poddało się, kiedy zacząłem je wtłaczać. Potem już szkatulka swobodnie wsunęła się wgłąb. Zatrzymała się. Oparłem się o ściankę. Szybko zasypałem wejście ziemią, wtłoczyłem kamień i zacząłem wkładać granit. Przygotowałem nawet w domu trochę cementu. Zamazałem nim szczeliny.

W tej chwili posłyszałem coś dziwnego. Jakiś niezrozumiały dźwięk. Wydało mi się, że w ogrodzie ktoś był. Trzasnęła gałązka... I rozległ się ten dziwny dźwięk. Nie mogłem zrozumieć, co właśnie tam się działo. Byłem pochłonięty swoją robotą. Byłem nieostrożny i nie przysłuchiwałem się dźwiękom nocy. Oprócz tego, byłem bardzo daleki od myśli, żeby w ogrodzie, a nawet i w ogrodzeniu ktokolwiek mógł się znajdować.

Rozległ się ten dźwięk—i zaraz wszystko uciхло. Zacząłem nasłuchiwać (na nieszczęście zbyt późno), lecz wszystko umilkło, zamarło. Kto, oprócz mnie, mógł być w nocy w tym ogrodzie?

„Pochowałem“ czarodziejską szkatułkę. Zdecydowałem powiedzieć o tem tylko niani. Gdybym zginął, ze mną zginęła by i szkatulka.

Po ilu latach, dziesiątkach lat a może być i stuleciach, mogli by ją znaleźć?

Wszystko gotowe. Szedłem do swego domu, a tymczasem dziwny dźwięk, który mnie cokolwiek wyprowadził z moich skoncentrowanych na jednym rozmyślań, zmusił mnie do pomyślenia o otaczającym.

Dźwięk ten podobny był do gardłowego.

— I...

I z jakimś westchnieniem.

Nie chciało mi się odrazu iść do domu. Zrobiłem kilka kroków w lewo, do furtki, która prowadziła do cerkwi.

Wyraźnie widziałem, że w cerkwi błysnęło światelko. Zupełnie, jakby na szkle odbiła się iskierka światła księżycowego. Mimowoli pociągnęło mnie dalej. Znow zobaczyłem migające światelko.

Nie trudno było domyśleć się, że w cerkwi, ktoś był. Przeszedłem obok cerkwi i schowałem się przy parkanie z drugiej strony, gdzie była droga do wyjścia i do domu stróżów. Byłem pewien, że do cerkwi dostali się złodzieje. Tam, bezwątpienia, był Iwan. Możliwe, że ze swoim kumem. Trzeba było sprawdzić.

Czekałem długo. Księżyc schował się. Były zaledwie widoczne sylwety drzew.

Cień!

Domyśliłem się, że to szedł nie Iwan. Dobrze znałem i postać i chód Iwana. Ten był o wiele wyższy i mocniejszy od Iwana. Dostrzegłem, że coś niósł. Coś wielkiego, złożonego na prawej ręce.

Zupełnie instynktownie, nie zdając sobie sprawy, nie wiedząc za sekundę, co zrobię, dałem temu cieniowi przejść obok siebie o jeden krok. Na-

tychmiast poszedłem z tyłu i zadałem mu w kark taki cios, że momentalnie runął na ziemię. Upadło i to, co niósł. Zabrzęczała, wypadając z tłomoka, kadzielnica. Momentalnie odciągnąłem człowieka na bok, zrzuciłem z drogi wszystko, co wypadło mu z rąk, i znów stanąłem pod parkanem. Człowiek poruszył się, lecz kopnięciem butem zadałem mu jeszcze cios, i uspokoił się.

Nie potrzebowałem długo czekać. Skradał się Iwan. Również z tłomokiem. Z Iwanem załatwiłem się jeszcze prędzej. Od uderzenia mojej pięści, jak snop, runął na ziemię.

Natychmiast przebiegłem obok domu stróża. W oknie widniało światło. Wyszedłem na placyk, skręciłem w stronę mostu i znalazłem się na Sadowej. Obawiając się znów wpaść w oczy milicjantowi, część nocy spędziłem na schodkach spichrzy, i gdy tylko zaczęło świtać, poszedłem na dworzec Mikołajewski.

Znów bez celu przewłóczyłem się po podwórzu i wróciłem do domu dopiero o godz. trzeciej po południu. To jest na sam obiad.

I niania, i ojciec, Cyryl byli czemś bardzo rozstrojeni.

— Grzechy... grzechy! — powtarzał ojciec diaakon: oto pan w domu nie nocował, a co się u nas tej nocy zdarzyło, to opowiedzieć trudno. W ogrodzie, w pobliżu pomników, znaleziono człowieka, który się powiesił. Marynarz. Mówią, że jakoby przyjął on religję żydowską i... zatęsknił do wiary prawosławnej.

A więc to jego westchnienie słyszałem, kiedy wstawiałem granit.

Przypomniała mi się jego piękna, młoda twarz, czarne wąsiki. Uśmiech jego, kiedy rozma-

wiał z Ksienią... I jego konfuzja, kiedy Ksienia zaczęła go drażnić.

Lecz to mało. Ojciec Cyryl opowiedział mi, że nad ranem znaleziono Iwana i jego kuma pod parkanem w stanie nieprzytomnym. Przy nich leżało dużo szat kościelnych i naczyń. Nikt nie wątpił w to, że oni okradli cerkiew, lecz...

Dalej opowiadanie łączyło się z samobójstwem marynarza.

Kto mógł pobić Iwana i jego kuma prawie że nawpół do śmierci? Kto mógł być w tym czasie w ogrodzie? Ojciec Aleksander był człowiekiem bezsilnym, ojciec Cyryl zbyt zgrzybiałym, ażeby który z nich mógł zadać taki cios, że zdrowy, tegi kum upadł po nim i długo nie mógł przyjść do przytomności. Gdyby to był kto inny, napewnoby zabrał z sobą skradzione rzeczy. Tymczasem wszystkie były co do sztuki. Wszystkie leżały na drodze. Ma się rozumieć, podejrzenie spadło i na mnie, lecz je natychmiast odrzucono. I ojciec Cyryl i niania dowiedli, że wieczorem wyszedłem z domu i jeszcze nie wróciłem. Stróż i kum jego, z ledwością przyszedłszy do siebie, doszli do domu, i teraz obydwaj leżeli. Bezwarunkowo uderzenia w głowę były bardzo silne, lecz najwięcej podziałł na nich przestrah. Kiedy zaś jednocześnie z nimi zauważono i marynarza, który się powiesił, to mimowoli u wszystkich powstała nader prawdopodobna „historja“.

Obydwóch ich pobił marynarz. Bardziej sceptycznie usposobieni ludzie przychodzili do wniosku, że marynarz, zobaczywszy ich, jak szli z cerkwi z tłumokami, pobił ich, a potem powiesił się. Inni twierdzili, że ich ukarała dusza powieszzonego. Tego ostatniego zdania byli wszyscy nasi: niania, oj-

ciec Cyryl i Wasia. Prawdopodobnie, przekonany o tem był i ojciec Aleksander.

Wiadomość o marynarzu, który się powiesił, wywarła na Iwana, żonę jego i kuma oszałamiające wrażenie.

Kiedy dowiedziałem się, że Iwan i kum jego czują się bardzo źle, postanowiłem odwiedzić ich.

Iwan leżał w swoim pokoju na łóżku. Na mój widok, stróżka odwróciła się. Obejrzałem chorego. Nie mógł przekręcić głowy i jęczał. Widziałem, że męczył go ból głowy i strach. Lecz nic mi nie powiedział, oprócz odpowiedzi na pytania, gdzie właściwie go boli. Powiedziałem stróżce, jak należy leczyć chorego, to jest jak przykładac kompresy, i przeszedłem do marynarza. Zdążył już urządzić swoje mieszkanie. Skądciś przywiózł dość piękne meble.

Marynarz uszkodzenia miał znacznie większe. Cios w kark był o tyle silny, że marynarz nie miał siły nawet poruszyć ręką. Oprócz tego, przy skroni był wielki siniak. Poradziłem stróżce, ażeby kładła swemu kumowi zimne kompresy.

Kiedy wychodziłem z mieszkania stróża, do bramy zajrzał mieszczech. Roześmiał się głośno:

— Cud!... cud!... — zawołał i zaraz uciekł.

Z powodu pogrzebu marynarza przychodzili celem porozumienia się z ojcem Aleksandrem. Jak go mają pochować, czy według obrządku prawosławnego, czy też według żydowskiego. Ojciec odpowiedział, że bierze na siebie pogrzebanie go według obrządku prawosławnego. Lecz komisarz zadecydował inaczej. Marynarza uroczyście, z czerwonymi chorągwiami, pochowano według obrządku cywilnego, to jest bez modłów i „popów“.

Za to ja odprawiłem za niego oddzielnie specjalne nabożeństwo.

W piątek zaszedłem do cerkwi. Spowiadało dwóch: ojciec Aleksander i jeszcze duchowny, którego często zapraszano, ażeby odprawiał nabożeństwo zamiast ojca Aleksandra. Ten się bardzo męczył.

W cerkwi panował półmrok. Ci, którzy szli do spowiedzi do ojca Aleksandra, przechodzili na prawo. Kilka osób ze świeczkami w rękach siedziało na ławkach i oczekiwało na swoją kolej. Ojciec kogoś spowiadał bardzo długo. Pozostali cierpliwie oczekiwali. Nie wiem dlaczego zatrzymałem się w pobliżu oczekujących i głęboko zamysliłem się. Myśl moja specjalnie na niczem nie zatrzymywała się. Myślałem najwięcej o marynarzu, który się powiesił, o stróżu Iwanie i jego kumie.

Jeżeli oni myślą lub będą myśleć, kiedy przeмина ich bóle głowy, o tem, że dokonał się cud i ich ukarał Bóg, to według teorii mieszcucha, bardzo dobrze. W każdym razie był to niezwykle splot wypadków. Trzeba było marynarzowi po-

— Ach, nie..., Jestem zdrowa.

— Lecz pani jest czemś przygnębiona?...

— Ja? Przeciwnie, w duszy mojej tak czuję się dobrze... Tak jasno... To wszystko drobiazgi... Nie sypiam. Myślę. Lecz myśli moje takie są rzeźkie. Słowo honoru. Nie mogę panu wszystkiego powiedzieć, lecz przeżywam w głębi duszy wielką, wielką radość...

Wzięła mnie za rękę.

— Drogi mój przyjacielu. Pan mi wierzy. Mówię to szczerze. Dopiero co spowiadałam się. Nie mogłabym kłamać. A szczególnie panu. Niech pan się nie martwi, że panu nic nie mówię. Tego nie trzeba... Lecz tylko niech pan da mi słowo... Coby się nie zdarzyło, pan powinien być o mnie

spokojny... Jeżeli będą pana o mnie zapytywać, pan nic nie wie... Mogę tylko panu jedno powiedzieć. Będę myśleć o panu. To pan powinien zawsze... zawsze czuć.

Mocno ścisnęła mi rękę Popatrzała mi w oczy jasnym, pełnym ufności spojrzeniem.

— Dobrze?...

Pocałowałem ją w rękę.

— No, a teraz niech pan posłucha. Gdybym pana teraz nie spotkała, wszystko jedno musiałabym zejść do pana... Właśnie dziś. Lub przynajmniej, w ostateczności, zobaczyłabym pana jutro podczas komunji...

Na minutę zatrzymała się. Trudno jej było mówić. Naraz zwróciła głowę w prawo i lekko drgnęła.

— To tam powiesił się marynarz?...

— Tak, oto na tem drzewie.

— Niech pan powie?... Czy to prawda, że on był blisko z Ksienią?... Pan często bywał na balach u marynarzy.

— Widziałem ich razem.

— Mnie Ksienia wspominała, że on... był jej pierwszym wielbicielem.

— Możliwe.

Opowiedziałem o tym dniu, kiedy poraz pierwszy zobaczyłem Ksienię. W cerkwi, gdzie ona przychodziła z marynarzami namawiać, ażeby oddano ją na salę taneczną.

— Boże! Przebacz jej.

Zamilkliśmy.

— A teraz powiem panu najgłówniejsze. Nie chciałam jeszcze mówić panu o jednym. Zdecydowałam jeszcze sprawdzić. Lecz, zdaje się, nie omyliłam się. Niech pan przejdzie jutro rano na targ Siennyj, w zaułek Gorstkina. Niech pan idzie

od Siennej po lewej stronie. Jestem prawie pewna, że tam bywa brat pański, Józef. Widziałam go dwa razy...

CZĘŚĆ DRUGA.

1. Mowa.

Wasza Dostojność...

Czcigodne panie i czcigodni panowie!

Obywatele i Obywatelki!

Czuje, że nadszedł czas, ażeby powiedzieć wam kilka słów. Wysłuchajcie mnie dobrze i uważnie. Gdyż dla tego wszedłem na katedrę, a wyście zapelnili tę salę. Zwykle mówca marzy o tem, ażeby po skończeniu jego mowy rozległy się niemiłkające oklaski. Ja zaś powiem wam zupełnie szczerze, że daleki jestem od myśli szukania u was współczucia, przychylności, zachwytu, burzy protestów i nienawiści. Nie interesuję się nawet waszem zdaniem.

Nadejdzie czas, i to bardzo prędko, że usłyszycie o mnie. I wtedy, spodziewam się, przypomnicie sobie moje słowa.

Zatem, uwaga i uwaga.

O, jednakże w mojej audytorji zebrało się dużo. Ja, prawdę mówiąc, nie spodziewałem się tego.

Mowa moja, uprzedzam was, będzie cokolwiek oryginalną. Będę mówić do was wszystkich razem i jednocześnie, obok tego, będę się zwracać do niektórych słuchaczy oddzielnie. Lecz, rozumie się, tak, ażeby i inni słyszeli.



Być może, myślicie, że będę was w czemkolwiek demaskować?... Robić wymówki, drwić, poniżać, wymyślać, przedstawiać w świetle niekorzystnym, osądzać i t. d.? Mylicie się głęboko. Jestem człowiekiem zupełnie innego pokroju. I wy, myślę, dobrze poznaliście mnie od tej chwili, kiedy wszedłem do Petersburga i tam znalazłem samego siebie.

Być może, myślicie, że będę wam mówić o tych, którzy siedzą na tronie rosyjskim i rządzą wami, o bolszewikach, o komunistach, o potwornościach czerezwyczajki, o tem, jak chłopci piekli swoje dzieci i obgryzali ich kosteczki? Broń mnie Boże! Właśnie o nich nie mam nic do powiedzenia lub dodania do tego, co wszyscy bardzo dobrze wiemy. Nie mógłbym o tem powiedzieć tak, jak powie historia. Historia zawsze jest okrutną przy suchem wyliczaniu faktów. A tymczasem są ludzie, którzy zapisują każdą sekundę w życiu naszej ojczyzny. I nic, ani jeden drobiazg nie zaginie. Lecz opowiadania o bolszewikach, wy sami dobrze to wiecie, nie wywierają już żadnego wrażenia. Oni nam wszystkim (sądzę to po sobie), aż do mdłości dokuczyli. Teraz nas już niczem nie zadziwią. Rozum ludzki w fantazji swojej okazał się zbyt słabym wobec prawdy życiowej.

Życie moje dla was nie jest interesującym. Byłem jednym z wielu, a teraz widzę, że jestem tylko sam. I oto od tego czasu, gdy w obłądnie, w malignie, leżąc w jakimś szpitalu lub więzieniu, przyszedłem do jednej myśli, stałem się tym jednym, na którego los wskazał ręką. Na kogo padł los. I od tej chwili życie moje, kroki moje winny być interesujące dla wszystkich. Zwykle panienki, czytając romans, patrzą na ostatnią stronicę:

— Ach, czem się to wszystko skończyło?..

Jeżeli moja święta myśl spełni się, będziecie z początku wiedzieć koniec mojego planu, a potem już zainteresujecie się dowiedzieć, jakim działał od chwili urodzenia się tej myśli do jej wykonania. Zapisuję wszystko.

I, przypuszczam, notatki moje będą mieć znaczenie historyczne już dla tego, że szczegółowo opisują życiową stronę Petersburga w tych latach. I nawet o tyle z fotograficzną ścisłością, że jeżeli opisują jakąkolwiek scenę, to właśnie tak, jak ją widziałem własnymi oczyma. Rzecz nie w nazwiskach, imionach i imionach ojców, lecz jednak wszystkie osoby, które ja tu opisuję, istnieją i wy je z łatwością możecie poznać.

Być może, powiecie, że historia o tem, jak oficjalista kolejowy w tajemnicy modlił się między belkami za cara, wymyślona jest przezemnie? Nie. Daję wam słowo, że było właśnie tak. Lub o tem, jak przy dworcu ukradli trumnę nieboszczykowi. Powiecie, że umyślnie wtłoczyłem w moje notatki łysego prelegenta, otrzymującego deputat od marynarzy? Jeszcze, przypuszczam, nie uwierzycie w istnienie Filki? Nawet nie zmieniłem jej imienia. Nie wyobraziłem jej pod przejrzystym pseudonimem. Tą suczkę i ja, i ojciec Cyryl, i niania i Wasia nazywaliśmy Filką.

Lecz, uprzedzam was, w moich notatkach omyłki są możebne. Mówiłem wam już, że w czasie mojej choroby straciłem pamięć. I proszę o wybaczenie, jeżeli gdziekolwiek natkniecie się na omyłkę.

Tu przytoczę słowa jednego z moich przyjaciół, artysty, obecnie zabitego.

Mówił:

— Można dopuścić się w rysunku omyłki, lecz nigdzie nie powinno być fałszu.

Oto właśnie tego fałszu we mnie niema ani odrobiny. Przytoczę wam przykład. Jeżeli będziecie mieć czas, przejdźcie do ogrodu soboru Nikoły Morskiego i uważnie obejrzyjcie pomniki. Na jednym z nich zobaczycie, że kawałek granitu jest odbity i nierówno, pospiesznie wstawiony na miejsce...

Możecie z łatwością zobaczyć nawet te mieszkania, które opisuję. Tą piwnicę, w której rozmawiałem z siostrą, rozbite okno, za które schowałem rewolwer, to mieszkanie, w którym odbywała się zabawa marynarzy, gdzie umarła księżniczka i była zabita Marusia. Wszystko to, może być, istnieje i teraz.

Słowem, muszę was uprzedzić, że w moich notatkach niema zmyśleń. Wszystko było w rzeczywistości.

Lecz wybaczcie... Odeszłem trochę od tematu. Akurat o notatkach moich mówić nie chciałem. One są tak wyraźne i ścisłe, że nie wymagają objaśnień. Nie o nich zamierzałem mówić. Powiem tylko kilka słów o sobie. Któm ja? W każdym razie nie należę do tych ludzi, których zadaniem jest demaskować lub gryźć cudze sumienie. Mnie do tego nikt nie upoważniał. Ani ja sam, ani z góry. Chcę nawet powiedzieć wam:

— Panowie, róbcie, co chcecie, mnie stanowczo wszystko jedno.

Jestem sam. Nie jestem z wami. I nikt z was nie pójdzie za mną.

Lecz, być może, wy sami zapytacie:

— A któż on jest taki? Dlaczego wziął na siebie prawo tak mówić z nami. To jakiś nierozumny.

Ot... ot... Właśnie tak. Macie głęboką słuszość. Zgadza się z wami w zupełności. Jestem nierozumny. Tem wszystko jest powiedziane.

Ja sam czuję, że nie jestem w zupełności tym zwykłym normalnym człowiekiem, który wogóle uważa się, w zupełności, we wszystkich zmysłach, za umysłowo zdrowego człowieka. W mózgu moim po uderzeniu kolbą zachodzą dziwne objawy: majaczenie łączy się z rzeczywistością, pamięć mnie zawodzi, myśli płaczą się. Zaczynam fantazjować. mówić głośno...

Czyż to, co mówiłem Marji Romanownie, nie było majaczeniem. Czyż to mówił człowiek normalny? To mówił nierozumny. Lecz współczesny. Bardziej subtelny i wyszukany.

Więc wy mówicie, że jestem nierozumny? Znakomicie. Zgodzimy się na to, lżej mi będzie rozmawiać z wami.

Panowie! Nie demaskować was będę, a tylko to mnie interesuje: co wyście przez ten czas robili?

Jak wy wogóle czujecie się przy nowym stroju?

Boleśnie was bili? Nie. No, dzięki Bogu. Wy nawet nie siedzieliście w więzieniu? To lepiej. Szczęśliwi! A nieprawdaż, jak teraz łatwo się żyje? Z początku wam pluli w twarz i siekli niemal że sto razy dziennie, a teraz tylko raz na miesiąc. Zachwycające, że tak. Jestem za was zadowolony.

Oto pan, łysy prelegencie... pan nawet utył i nabrał różowej cery na deputacie marynarskim. I tak dobrze pan się uśmiecha. Pan nawet stanął na czele teatru państwowego. Cenią pana. Niedawno panu bolszewicy w dzień pańskiego jubi-

leuszu ofiarowali tytuł „honorowego i zasłużonego reżysera“. Co? Czyżby pana już zwolnili?..

Jaśnie wielmożny Fiedor Ignatjicz, niech pan sam osądzi, w czym będę pana demaskować?.. Cóż mnie obchodzi to, że pan, profesor, autor bardzo dobrych książek, przewiązał się sznurkiem, wziął do ręki miotłę i, zgodnie z dekretem, zamiata ulicę z błota. Wszystko to jest tak naturalne i proste, i nic w tem niema złego. Pan chce, ażeby „oni“ zwrócili na pana uwagę. Zupełnie zrozumiałe. Kiedy pan pisał swoje prace, pan również chciał, ażeby na pana zwrócono uwagę. Tu niema się o co spierać. Cóż? Pan się okazał człowiekiem bardzo gorliwym w wypełnianiu swoich obowiązków. I ta praca ani na jotę nie poniża pana. Nawet pomyślałem: dawniej nasi osławieni stróże tak gorliwie nie oczyszczali ulic z błota. Słowo honoru. Chciałem poprostu przeszłym razem, kiedy widziałem pana przy pracy, zawołać:

— Ależ z pana urodzony stróż.

Więcej nawet. Zarzuciłem rodzicom pana, że pchnęli pana na myśl wybrania sobie kariery uczonego. To był ich zasadniczy błąd w wychowaniu.

Wyobrażam sobie, jakim by pan był idealnym asenizatorem. No, ażeby pan tak pomyślał o takiej karierze, która, jak mówią, bardzo wysoko poważana jest przez bolszewików i wspaniale opłacana.

Czyżby pan tak cierpiał skutkiem strachu, jak cierpi teraz. Teraz pana, jako profesora, nie uznają i hańbią tem, że jest pan rzeczywistym radcą stanu. Oto plama, której pan niczem nie zmyje.

Boże, jakie cierpienie było na pańskim obli-

czu, kiedy pan znalazł mnie w kancelarji, wziął za rękaw i odprowadził do jakiegoś pustego kąta.

— Marja Romanowna ...zginęła!..

— Co znaczy „zginęła“?

— Ja... ja nic nie wiem. Zginęła. Oto już piąty dzień, jak jej niema w domu... Boże!.. Za co?.. Co z nią?..

Prosiłem pana wtedy, ażebyś się uspokoił i opowiedział mi wszystko szczegółowo... po kolei...

Panowie!.. Nie mieszajcie się, że intymna strona z życia Mansurowych stała się wam wszystkim wiadomą, pomimo braku gazet i wymarłych staruszek plotkarek, biegających z domu do domu.

Po pierwsze, Ksienia urządzała skandale w domu tak publicznie, że o nich wiedzieli nie tylko ci marynarze, którzy mieszkali w mieszkaniu Mansurowych, lecz i całe podwórze, a za niem i sąsiednie podwórza. Często okna były otwarte, (kiedy ma się rozumieć, było lato), i krzyki Ksieni zbierały pod oknami wszystkich mieszkańców tego domu...

— Zdrowo ją ona przejeżdża.

Skandale te podobały się wszystkim, gdyż Marja Romanowna należała do burżujek i szczególnie tego nie ukrywała.

A po drugie, Fiedor Ignatjicz, rozgoryczony, szedł do kogokolwiek z mieszkających w podwórze lub zatrzymywał się ze spotkanymi na podwórzu i długo im opowiadał, jak przedtem zgodnie i bogato żyli i jak teraz życie ich stało się niespokojnem. Przytem Fiedor Ignatjicz skarżył się nie tylko na córkę, ale i na Marję Romanowną.

— Jak to ona nie rozumie, że teraz nastały

inne czasy i że z córką trzeba inaczej postępować. Nie na próżno jako dewizę dla gimnazji wybrali: niema złych dzieci, są tylko źli rodzice.

— Prawidłowo, — odpowiadał gazeciarz Minkowski, z którym Fiedor Ignatjicz najwięcej rozmawiał o życiu rodzinnem.

Pamięta pan, Fiedor Ignatjicz, jak razu pewnego przechodziłem obok pańskiego domu i, przywitawszy się z panem, pozostałem w czasie pańskiej rozmowy.

— Jakżeż?... Jakżeż?... Pamiętam.

O, ja w zupełności pana rozumiem że pan koniecznie potrzebował przed kimś wyłożyć wszystko, co miał na sercu.

Tak więc, nic a nic nie obwiniam pana, że dzieliłeś się swemi przeżyciami z ludźmi panu blizkimi i dlatego pańska historia rodzinna stała się właściwością nieomal całej dzielnicy. Wreszcie, Ksienia tak często skarżyła się na matkę swoim przyjaciołom marynarzom i komunistom, że nawet, jak wypadkowo dowiedziałem się, sowiecki mąż mojej siostrzenicy Leli chciał osobiście przyjść do Marji Romanowny i porozmawiać z nią.

Lecz ta rozmowa nie odbyła się. Po pierwsze dla tego, że Lela urodziła dziewczynkę, a po drugie, że akurat w tym czasie znikła Marja Romanowna.

Widziałem, jak pan głęboko cierpiał. Złapał mnie pan w cerkwi, odprowadził na stronę i szepciem spytał:

— Jej dotychczas niema. Jak pan myśli, nie jest ona aresztowaną?... Nie?... Nie śpię po nocach. Wciąż czekam, że u mnie będzie rewizja. Pan wie, Marja Romanowna była bardzo nieostrożna. Nie krępując się, mówiła takie rzeczy... Nasi lokatorzy mogli ją słyszeć... Tak, napewno słyszeli...

Biedny Fiedor Ignatjicz. Gdyby pan był nie profesorem, a asenizatorem, nie cierpiałby pan tak.

— Czyż nie mam racji?

Cóż ja mogę panu odpowiedzieć? Nic nie wiem. Możebnie, że Marja Romanowna wpadła im na ulicy i siedzi w więzieniu.

Proponowałem panu dowiedzieć się.

— Być może, Ksienia się dowie?.. Mnie nija-ko. A ona ma znajomych komunistów i czekistów. Ona jakoś tam może przez nich ostrożnie się dowiedzieć.

Tak więc, najdroższy Fiedorze Ignatjiczu, w czymżeż mogę pana demaskować? Ja bardzo dobrze rozumiem pana, wszystkie pańskie cierpienia i, przeciwnie, głęboko współczuję panu,

Jeżeli je, jak panu teraz niewiadomo, lecz stanie się wiadomem, kiedy pan przeczyta moje notatki, niekiedy biję, to wcale nie z chęci dania „nauczki“. A tak... Właśnie „tak“. A propos należy powiedzieć, że to tylko u ruskich istnieje „tak“. I tem są oni bardzo silni.

— Ty za coś go zabił? — spytałem raz w drodze do Petersburga jednego żołnierza.

— A tak.

I wszystko zrozumiałem. Całą jego psychologję. Wszak i ja sam często działałem:

— A tak...

Oto zobaczyłem, jak Iwan i jego kum niesli z cerkwi skradzione przedmioty. Jakiż miałbym interes w demaskowaniu ich, że to nie jest dobre i że według praw dawnych uważane to jest za świętokradztwo? Gdybym zaczął ich demaskować i wygłaszać do nich mowy, oni albo by zabili mnie, albo nazwali nierozumnym.

A ja wziąłem i rozbiłem im głowy. Obyd-

waj leżą w swoich mieszkaniach, sąsiadując jeden z drugim. I jęczą. Obydwaj mają głowy rozbite. Tylko stróżka biega od jednego do drugiego i przykłada kompresy.

Przynajmniej, przez ten czas rozmyślać będą. To nie przeszkadza, Przekonany jestem, że mój mieszczuch nie raz przybiegał i szeptał:

Cud... To ten, który się powiesił. Wisielec was ukarał.

Wyzdrowieją, ciekawe będzie porozmawiać z nimi. Odwiedzam ich, chcę sam, ażeby bóle prędzej minęły. Jednak, myślę, że dla nich obydwóch te uszkodzenia głowy nie przemijają...

Myślę, że mój mieszczuch odegrał pewną rolę w życiu marynarza, który skończył z sobą. Kiedy ten marynarz szedł ku drzwiom, za którymi mieszkała księżniczka, uderzenie w ciemności wywarło na nim również wrażenie cudu... On pierwszy z piskiem rzucił się w drugą stronę. A mieszczuch nie omieszkiał szepnąć mu potem.

— Cud!..

Możebne, że przestraszył go djabłem. Djabieł, widać, stał przy drzwiach. Ten nie domyślił się, że djabli napewno nie broniliby księżniczki.

Oni, te Maszki i Iwany, wierzą w swoje cuda, a nie w nasze. W prawdziwy cud.

Pan wie, Fiedor Ignatjicz, ja panu więcej powiem. Gdybym pana uderzył w twarz w ciemnym korytarzu. pan również, przypuszczam, wziąłby to za cud.

I to dobrze. Znaczy się, że pan ma sumienie, jeżeli pan wierzy w cuda.

A to, że znalazłem obrazek, gdy wchodziłem do Petersburga, że spotkałem Marię Romanowną i dowiedziałem się, że brat Józef żyje, czyż to nie cud! No, ale tego pan nie rozumie. Kiedy Ksienia

razu pewnego przyszła do domu i przy obiedzie wypaliła:

— Boga niemal...

Pan nic nie mógł powiedzieć. Nie umiał pan odpowiedzieć na jej zapytanie:

— A tyś go widział, papo?

Pan sam mi to opowiadał.

Panu, Fiedor Ignatjicz, i panom, powiem, że nie chcę was demaskować... Być może, pod wielu względami i wybyście mogli zrobić mi nie tylko wymówki, lecz nawet i demaskować, a ja tylko roztrząsam moje przeżycia osobiste. Wy zaś — nie mniej, ni więcej, jak historia. Nie mogę przecież opisywać cokolwiek bez czasu i miejsca, byłby to poprostu romans fantastyczny. Nie, potrzebni mnie jesteście wszyscy jako tło. Macie słuszość i czynności wasze — to istotna historia tych lat, i dlatego tak marzę o wzniesieniu na Kremlu pomnika hańby. Niezupełnie, być może, jest odpowiedniem słowo „pomnik hańby“. Najlepiej poprostu „pomnik historyczny“. Lub „pomnik ojców“.

Lecz o pomniku teraz mówić przedwcześnie.

Widzę, droga Ksieniu Fiedorowno, że wydeła pani usteczka i wzrusza ramionkami. Mowa moja wydaje się pani nieprzyjemną? Obawia się pani zdemaskowania? Nie? Pani niema w czem demaskować. Ma pani zupełną rację. Nie będę zajmować się tą niewdzięczną sprawą. Pani, być może, myśli, że zacznę panią pouczać i przytoczę piąte przykazanie: „Czcij ojca i matkę swoją“.

Odpowiem ulubionym frazesem pani:

— Nic podobnego.

Lecz jaka pani jest ładniutka. Prawda, nie lubię, kiedy dzieci... a pani jest jeszcze prawdziwym dzieckiem... pudrują się, podczerniają brwi, rzęsy i malują usta. Pani ma tak piękną twarz,

że w swej naturalnej piękności wydaje się bardziej piękną. Lecz to wogóle głupstwa. Prawda również, że panią, droga dziewczeczko, szpeci złe spojrzenie pięknych oczu pani i pogardliwie wydęte usteczka. To tak niepasuje do czarującej twarzyczki pani. Obecnie, kiedy patrzę na twarzyczkę pani, nie wiem dlaczego wydaje się, że w innym czasie bylibyśmy wielkimi przyjaciółmi. Pewien jestem, że pani spotykała by mnie z uśmiechem. Być może... (mówię: być może), siadała by mi pani nawet na kolanach, przytulała się do mnie, patrzała na mnie swemi jasnymi błękitnymi oczkami i z jasnym uśmiechem czekałaby, ażebym opowiedział coś bardzo interesującego.

Mówię zupełnie poważnie: pani bardzo nie pasuje ten zły wyraz oczu i fałdka wokoło ust.

Oto i złapałem! To na złość mnie wyjęła pani z woreczka pomadkę do ust w metalowem pudełeczku, leciutko chuchnęła na nią i przeprowadziła po wargach. I usteczka pani stały się odrazu jaskrawo-czerwonemi.

Powiedzcie, droga Ksieniu (mogę tak panią nazywać: pani o tyle młodsza ode mnie), dlaczego pani podeszła do mnie na wieczorynce u marynarzy i spytała:

— Pan nic nie wie o mamie?

A dlaczego właśnie ja powinienem coś wiedzieć?... Co pani schwytała z moich stosunków ku Marji Romanownie.

Pani myśli, że ja powinienem wszystko wiedzieć. Nic nie wiem. Ani o Marji Romanownie, ani o pani.

Ma się rozumieć, mnie bardzo żal pani, nic wiem, jak pani teraz, kiedy ukryła się gdzieś mama pani, radzi sobie ze wszystkim. Ojciec pani przychodzi z biura zmęczony, głodny. Pani powra-

ca do domu późno. Kto pani gotuje obiad, kto pierze bieliznę i ceruje ją?... To wszystko spadło na pani barki.

Nigdy w świecie.

Pani nic nie robi. Gdzie ojciec pani jada, nic to pani nie obchodzi. Lecz za to pani osobiście jest ciężko. Bardzo ciężko. Ja to rozumiem. Wiem, że pani niekiedy całe dnie spędza nietylko bez jedzenia, lecz nawet bez herbaty. Lecz za to niekiedy podejmują panią dobrymi obiadami.

Ojciec pani opowiadał mi, jaka historia raz wynikła. Pani przyniosła do domu kawałek chleba i położyła na stole. A ojciec ten kawałek zjadł. To mu się dostało!.. Nie daj Boże. Przyszli marynarze-lokatorzy i omal go nie pobili. Zmusili ojca, ażeby poszedł i dostał chleba, gdzie chce.

I cóż?

Poszedł i gdzieś zdobył.

O, dobrze wiem, jakimi obiadami panią częstowali. I u Sieroży jadła pani obiad wiele razy, i marynarze panią karmili. A kiedy otworzono kawiarnie i jadalnie, to pani tam często bywa.

Dobrze, że Nasuchin znów zaczął zabiegać o względy pani. Często ratował panią z biedy.

Tylko ja, jako człowiek, znający medycynę, dam pani małą radę. Po dniach głodówki nie rzucaj się pani tak specjalnie na jedzenie i wino. Następstwa niekiedy bywają straszliwe. Pani, na pewno słyszała, jak jeden młody człowiek, syn nieomal że byłego ministra, trafił do bolszewików na obiad, rzucił się na jedzenie i wino i tutaj zaraz przy stole oddał Bogu ducha.

Dobrze, że zeszłym razem pomogli pani marynarze. Doprowadzili panią do domu. Pani nie obliczyła i zjadła dużo, a głównie wino silnie działało pani na głowę. Wogóle to tak niepięknie.

Wtedy wielu na ulicy oglądało się za panią. Kiedy panią prowadzili pijani marynarze środkiem ulicy, a pani nie mogła iść.

Biedny Fiedor Ignatjicz wtedy tak się przestraszył, że omal sam nie zachorował.

Co mówić, madera, likiery, szampańskie — rzeczy bardzo przyjemne i niekiedy nawet pożyteczne. I pierożki zjeść przyjemnie. Lecz w miarę, moja droga dziewczeczko.

O, wybaw Boże, ja pani żadnych nie robię wymówek. Powiem pani nawet więcej. Żeby były dawne czasy, była by pani potrzebna, jako znana, określona wielkość, ściślej, jednostka w życiu, a teraz pani potrzebna jest dla innego. Właśnie ktoś wskazał palcem na panią, a pani robi właśnie to, co należy. Nie byłoby pani — historia by inaczej się złożyła. Dzieci w historii państwa również grają rolę.

Sierozal! I ty grasz taką samą rolę. I tyś również wybrany dla dokonania tego, co tak konieczne jest dla historii. Liczę się z tem. Gdyby panowie, niektórzy bohaterowie wielkiej wojny nie byli poszli na służbę do bolszewików, byłaby inna historia, być może zupełnie niepotrzebna w życiu narodów.

Kto pisał o was w prasie emigranckiej, że jesteście zdrajcy, że szliście na swoich braci, że pomagaliście rujnować ojczyznę?

A ja o was nic nie powiem. Nie będę wymawiać. Gdyż na was zgóry wskazane było palcem:

— Idź!...

I poszliście.

Prawda, ciężkie próby przenieśliście. Bili was i z prawa i z lewa. Lecz tą próbę przeżyliście. Przedtem was siekli za oddanie się ojczyźnie,

w niedawnych latach codziennie, teraz się sami cieszyć, że jest o wiele lepiej:

— Siekają tylko raz na miesiąc.

I jeżeli kłaniasz się przed Szymonem Isaiczem, to tylko pogładzę cię po głowce. Właśnie, ty powinienes okazywać mu honory, a nie ktokolwiek inny. Tyl...

Zeszłym razem, jakoś rano zaszedłem za interesem do Szymona Isaicza. I widzę, że Marja Ewstigniejewna (nie mogę zrozumieć, dlaczego zawsze w myślach nazywam ją Maszką?) idzie z sypialni Szymona Isaicza i wynosi jego naczynie nocne.

Maszka mu służy i służy sumiennie, powiedziałbym „z apetytem“.

A, Marja Ewstigniejewna i pani tu? Pani, zdaje się, robi mi wymówki, że kiedy piję herbatę lub siedzę przy obiedzie z ojcem Cyrylem, niania nie siada przy nas. To są burżuazyjne przyzwyczajenia.

Nie. Pozwólcie mi się wytłomaczyć. Ja po staremu, trzymam się niektórych odwiecznych tradycji. Naprzykład, zawsze ustąpię miejsca damie i wstanę przed starszym. Nie widzę w tem dla siebie poniżenia. Tak i niania. Ona sama wypełnia odwieczne tradycje i nie uważa tego za znie wagę dla siebie. Potrzebne jest to dla niej samej.

A Maszki ja sam nie posadzę przy ogólnym stole, dlatego że Maszka ma swoje miejsce. A oto, kiedy ona cośkolwiek z życia „zrozumie“, wtedy proszę bardzo. Znam historję Rosji. Wiem, jakie znaczenie w życiu miała ruska kobieta, nawet włóścianka, i chylę się przed nią, a nie tylko posadzę obok siebie, lecz Maszka ma swoje zajęcie.

I przy tem zajęciu ją zastałem.

A propos powiedziawszy, pan, Szymonie Isaiczu, jest tą Maszką zachwycony? No i dzięki Bogu. Wszystko w porządku. Wszystko idzie tak, jak być powinno.

I niech goście Szymona Isaicza i nawet pan Fiedor Ignatjicz, podają jej rękę do uścisku.

Jak, Fiedor Ignatjicz, zrobiło się panu przyjemnie w duszy, kiedy pan po raz pierwszy uściśnął rękę Maszki. Zupełnie, jakby pan dokonał coś wielkiego. Widziałem ten zachwyt w oczach pana.

Lecz pan, Szymonie Isaiczu, stoi na niedosięgalnej wysokości. Bo czyż ktokolwiek w pańskim wieku osiągnął tak wysokie stanowisko? Myślę, że nikt. To co, bogactwo pańskie! To wrodzona zręczność. Gdyby był zręczniejszym Fiedor Ignatjicz, to i on mógłby się urządzić, jak mu nie raz radzono. Lecz tylko on przygotowywał się do drobiazgów. Szarpał by petrochu, a pan odrazu zagarnął kawałek od Polski do Japonji. I pan postępuje zgodnie z rosyjskiem przysłowiem: dają — bierz, a biją w kark — uciekaj!...

Panu dali, pan i wziął. Oto i wszystko!...

Pan się uśmiecha? Pan sam wie znakomicie, że pana to... Szczególnie pana o nic winić nie będą. Pan i cudu się nie przestraszy! Żeby nie wiem jak mieszczuch szeptał panu.

— Cud!... Cud!...

Pana to nie wzruszy.

Pan chce odejść? Ach nie, omyliłem się głęboko. Pan się uśmiechnął do Ksieni. Zechciał pan przy niej usiąść?...

Sierozal! Ustąp miejsce Szymonowi Isaiczowi. Tak. Zuch. Wszędzie pełno. Miejsce Szymona Isaicza w pierwszym rzędzie. Ty tam nie usiądziesz. Nie dorosłeś. No, gołąbku, postój. Stań przy oknie. Zuch!

Tyś się dobrze wyuczył zasad grzeczności.

Wasza dostojność, łaskawe panie i łaskawi panowie! Zatem, kończę. Widzicie państwo, że jestem zupełnie nieszkodliwy człowiek. Ani jednego z was nie ruszyłem palcem. Przeciwnie, każdemu z was oddałem dań należną.

Przyszliście posłuchać nierozumnego? Słuchajcie. Nierozumni bywają dwóch rodzaj. Jedni z nich karca i im pozwala się mówić prawdę. Nierozumni i carom w oczy prawdę mówili. Byli to w swoim rodzaju oskarżyciele... W ostatnich stuleciach zaginęli oni i ich zastąpiły... gazety. Szczególnie konspiracyjne. One mówiły „prawdę”. Inni nierozumni mówili to, czego nikt nie mógł zrozumieć. Mów ich obawiali się wszyscy, lecz były one tak zagadkowe, że każdy mógł myśleć, co mu się podoba. Straszili oni zwykle tem, że „przyjdzie godzina”. A dalej już nic nie można było zrozumieć.

Wskazówka na zegarze posuwa się. I, ma się rozumieć, kiedyś godzina przyjdzie. Przyszła przecież i dla nas godzina, kiedy wszyscy wykrzyknęli:

-- Było nam źle, lecz będzie jeszcze gorzej!

I znów jakaś tam godzina przyjdzie.

Oto ja państwu powiem, że ta godzina jest w moich rękach. Państwo nie wiecie o tem. Nikt z was nie domyśla się, że w mózgu moim dojrzała już myśl. Państwo spokojnie rozmawiacie, palicie papierosy,. Lecz dalecy jesteście od myśli, że przed wami stoi ten, kogo wy nazywacie nierozumnym. A tymczasem w moich rękach wszystko, ażeby w jednej sekundzie powalić wasze bożyszcze w proch...

Ani jeden człowiek na świecie nie wie, że w pomniku przy soborze Nikoły Morskiego jest taka szkatułka, gdzie ukryty jest brauning. Wszak

tylko należy pocisnąć cyngiel — i cała wasza budowla rozleci się do djabła.

Bożyszczce wasze upadnie na ziemię, i ze skroni popłynie przegniła posoka. I wtedy zobaczycie, do kogo się modliliście, komu służyliście. Lecz Chrystus...

Co?.. Nic nie słyszę z powodu waszych krzyków, co chcecie powiedzieć?

Wy pod moim adresem rzucacie wymysły?... A, to pan, Ładnow, schwytał krzesło i rzucił we mnie!..

Co?.. Co?.. Maszka tak piszczy, że zupełnie nic nie słyszę. Wysunęła pazury i chce wydrapać mi oczy. Sieroża! Ostrożnie! Tyś przycisnął do ściany Szymona Isaicza. Widzisz. Zawalał sobie surdut o ścianę? Lecz dobrze, żeś kurz z niego otrzepał..

Panowie? Wyście się o coś na mnie obrazili? Wszystko była tak dobrze — i naraz taki skandal.

Szymon Isaicz, dlaczego pan pluje?..

Słowo honoru, daleki byłem od myśli obrażenia pana.

Szymon Isaicz, pan nawet chce odejść?

Sieroża! podaj kalosze Szymonowi Isaiczu. Maszka wytrzej je swoją chustką. Nic, że jest nowa. Wypierzesz.

Drogę Szymonowi Isaiczu!

Ach, szanowny profesor... poco pan wlaź pod krzesło? Pana lęk przejął? Nic. Jest pan pod zasłoną Szymona Isaicza. Widzi pan, opuścił dolną wargę, uśmiechnął się oo Ksieni i podał jej rękę. Sieroża podąży za nimi. Myśli:

— A czy zaprosi on mnie do siebie, czy nie?..

Oto i pan, szanowny Fiedorze Ignatjiczu, niech się pan postara wpaść w łaski Szymona

Isaicza. Zaprosi on pana do siebie. poczęstuje papierosem. Nie zaproponuje panu, ażebyś wziął go sam sobie z jego złotej papierošnicy, a sam go wyjmie i odda panu:

— Palcie.

Da herbaty i bułkę.

Maszka już biegnie naprzód. Domyśliła się, że Szymon Isaicz przyprowadzi do siebie w gošcinę panienkę. Trzeba wszystko zawczasu przygotować.

Skinęła na Iwana Terentjicza. Ażeby pomógł jej nastawić samowar.

Prędeż, prędeż... Już Fiedor Ignatjicz podaje palto Szymonowi Isaiczu.

Szymon Isaicz zadowolony jest z Fiedora Ignatjicza. Ten cały dzień pracował, oczyszczając podwórze.

Namyślała się, czy zaprosić na herbatę Sierożę i ojczulka Ksieni. Nachylił się ku niej.

Ksienia dobra dziewczynka, Zgadza się, ażeby i jej ojczulek i Sieroża przyszli na herbatę do Szymona Isaicza.

A Szymon Isaicz... On już wszystko zrozumiał. Mogą się oni napić herbaty i potem odejść. Zrozumiał, że Fiedor Ignatjicz będzie zadowolony. Przynajmniej będzie syty tego dnia. Mało tego. Przeszłym razem zachwycił się tem, że u Szymona Isaicza na półce stały perfumy. Więcej niż tuzin. Jakie to były perfumy! Jakie flakony! Jakie etykiety! Najlepszych fabryk francuskich. I jutro rano, kiedy Ksienia będzie jeszcze spać, pan, Fiedor Ignatjicz, zobaczy u niej na stoliku jeden (a być może i dwa!) z tych flakonów.

Lecz ty, drogi mój siostrzeńce Sierożo, będziesz musiał, po herbacie u Szymona Isaicza, wlec się do domu piechotą.

A przecież odgadłem, że ty zakochasz się w Ksieni.

Oto Sierozal Wspaniały oficer. Jest piękny, co tam mówić. A mundur go jeszcze bardziej ozdabia.

Pamiętam, jak z zachwytem opowiadał, że był na przeglądzie wojsk i widział cesarza.

Co to? Moja audytorja jest pusta. Wszyscy poszli...

Lecz dlaczego?...

Nikogo...

Na chwilę wysunął z za drzwi mieszczuch. Grozi mi.

— Co się stało?... Co ja powiedziałem?

Kiwa głową.

— Jak co? A czyż można wspominać słowo „Chrystus“.

I zaraz znikł.

Opamiętałem się. Przeciągnęłem ręką po zimnem czole. Zrozumiałem, jaki błąd popełniłem.

— Trzeba się modlić do Chrystusa, a nie mówić o nim.

— Nianiu, droga, to wy często mówicie, że trzeba się pomodlić i wszystko dobrze będzie... Ach tak! Przypomniałem sobie. Dziś uporczywie mi mówiłaś, ażebym obowiązkowo poszedł do cerkwi... właśnie do klasztoru żeńskiego...

Dobrze. Pójdę tam... A nawet mogę zaraz tam iść. Mam wieczór wolny.

I poszedłem. Przyznaję, często lubiłem, kiedy samotnie chodziłem po mieście, mówić z wyobrażaną audytorją. Zupełnie jakbym przygotowywał się do mowy, choć sam wiedziałem napewno, że żadnej mowy mówić nie będę.

Oto i teraz. Tak mowy swej nie skończyłem.

Nawet jej nie zaczynałem. A jak dużo chciałem powiedzieć...

Chciałem tylko spytać, co wyście panowie, robili przez ten czas? Tylko rozróżnić.

Ach, wszystko nie to... nie to...

Ulica... nie pamiętam jej. Nie mogę nawet rozróżnić napisu. Gdzie ja? Dom murowany. Okna parterowe z grubemi kratami. Jasno oświetlone. Lecz co się dzieje wewnątrz — nie można rozróżnić. Widoczne tylko punkty światła...

Migają. Nie jest to światło lampek elektrycznych, a świec.

Podniosłem głowę. Na pierwszym piętrze wysokie okna. Wyżej jakby podwyższenie z kopułą i krzyżem u góry. W rodzaju malutkiej dzwonnicy.

Naraz uderzyli w dzwony. Lecz cicho, jakby je próbowali. Dawały dziwne połączenie dźwięków. Uderzenie — potem po przerwie dwa uderzenia odrazu... i nie w ton. Znow ciche uderzenie... Jak przy pogrzebie.

Wszedłem w bramę. W bramie na lewo drzwi do cerkwi. Oświetlona. Na ciemnym tle nocy jasno-pomarańczowy kwadrat drzwi. Po tem świetle, wszystko wydaje się jeszcze bardziej ciemnem. Noc gęściejsza, czarniejsza.

— „Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zlituj się nad nami“.

Idą przez podwórze ciemne postacie. Widzę je dlatego, że się poruszają. Zwały się w jedno z ciemną nocą.

Przy drzwiach one, te postacie, oświetlają się. Wszystkie postacie jednakowe. Wszystkie wydają się jednego wzrostu. W czarnych szatach. Pod czarną zasłoną nie widać twarzy. Idą cicho. Nawet nie poruszają się ich szaty. Idą parami.

I śpiewają:

„Święty Boży, święty mocny, święty nieśmiertelny, zlituj się nad nami“.

Wśród młodych głosów słyszy się i starcze, lecz grube, jak bas.

Postacie te, wchodząc do cerkwi, wstępują na dwa stopnie i znikają.

Jak ich dużo. Z tyłu idą bardziej spieszące się postacie i niższe wzrostem. Dziewczynki...

Przeszedłem do cerkwi. Jasno oświetlona. Zakonnice stanęły szeregami. Żegnały się i kłaniały, zginając się nisko. Niektóre chodziły po cerkwi. Stawiały świece. Jedna czytała.

Pośrodku cerkwi trumna.

Jakiem się dowiedział, umarła matka ihumenja. W bardzo sędziwym wieku. Zimna, surowa twarz. Śmierć tak wygładziła twarz zmarłej, że nie było na niej zmarszczek.

Modliłem się gorliwie.

Nabożeństwo trwało długo. Wytrwałem do końca. Widziałem, jak mniszki znów parami wolnemi krokami wyszły z cerkwi.

Z poza ołtarza wyszedł mnich, który odprawił nabożeństwo. Stanął przed carskimi wrotami. Pomodlił się. Błogosławił zmarłą. I też wyszedł. coś powiedziawszy jednej mniszce.

W cerkwipozostały tylko trzy mniszki. Jedna, postawiwszy pulpit przy zmarłej, zaczęła czytać, druga sprzątała cerkiew, trzecia klęczała na boku i żarliwie modliła się. Była to nie mniszka, a nowicjuszka.

Nie wychodziłem z cerkwi. Zmęczyłem się. Tak długo siedłem.

Szedłem machinalnie. Znałem kierunek i to mi wystarczało, ażeby przyszedł na tą ulicę, gdzie był klasztor niewieści.

Wszystko tu było jak zwykle. Dlaczego niania poradziła mi przyjść tutaj?

Lecz nie żałowałem. Cichy śpiew cerkiewny uspokoił mnie i zapomniałem o tem, co mnie nie pokoilo. Zapomniałem nawet o mojej mowie.

Mniszka dotknęła ramienia nowicjuszki i coś jej powiedziała. Ta natychmiast wstała i skierowała się w moją stronę.

Twarz nowicjuszki była prawie zakryta czarną chustą. Przechodząc obok mnie, tylko ukloniła się.

— Marja Romanowna!

Nie wychodziłem z cerkwi. Przestałem całą noc. Do tego czasu, kredy rano rozpoczęło się nabożeństwo i Marję Romanownę zmieniła inna zakonnica.

Podejść do niej nie zdecydowałem się. Wykonała wszystko to, co jej było powiedziane tak, jakby mnie nie było w cerkwi.

I tylko, kiedy powinna była odejść, przeszła obok mnie i znów nisko się pierwsza ukloniła.

Wszedłem z cerkwi w ślad za nią. Przy drzwiach zatrzymałem się. Widziałem, jak czarna postać powoli oddalała się. Znikła w drzwiach domu, wychodzących na podwórze.

Myśli moje płątały się. Przypomniałem sobie słowa Marji Romanowny, kiedy spotkaliśmy się z nią po jej spowiedzi. Teraz stała się dla mnie zupełnie jasną jej decyzja.

I mnie tylko jedno radowało i zmuszało widzieć bliżej i silniej życie i ją kochać.

— Niech pan pamięta, że zawsze będę myśleć o panu.

Lecz ona nie wiedziała, co się działo w mej duszy. Nie wiedziała, co chcę jej powiedzieć. Chcę powiedzieć:

— Kocham!

Nabożeństwo odprawiał staruszek mnich. Ni-
ziutki, zgarbiony. Kadził nad trumną i głowa jego
drżała. Mówił cicho, lecz zrozumiale.

— Świeżo zmarła Serafina...

Z obcych, oprócz mnie, nikogo nie było. Lecz
wątpię, czy mnie która z mniszek zauważyła. Nie-
spoznienie wszedłem do cerkwi i stanąłem za
kolumną.

2. Brat.

Przed Wielką nocą panowało na targach spe-
cjalne ożywienie. Z początku handel koncentro-
wał się w naszym okręgu około cerkwi na Sado-
wej i przy zburzonym targu.

Nad trotuarem rozlokowali się handlujący.
Stali tu z straganami, nosili towary w rękach, roz-
kładali na stołach. Na niektórych stołach stały
gorące samowary, przy innych golili i strzygli.
U ścian z rozwartymi drzwiami i oknami, a w szcze-
gólności za temi stosami cegieł, było tyle wszela-
kich odpadków, że na trotuar ściekało śmierdzące,
rzadkie błoto. Przechodząc przez targ, nie można
było oddychać. Było tu w całej pełni życie ludz-
kie z różami do kuliczy, z gorącą herbata i buł-
kami, i z ustępem.

Lecz cały ten tłum co chwila ulegał prze-
strachowi i drgał. Na pierwszy okrzyk, wszyscy
rozbiegali się w różne strony.

I oto jakoby wyszło pozwolenie handlowania
nie na miejscu starego rynku, a na ulicy Gorstki-
noj. Rynek Sienny opustoszał. Z początku tysią-
ce butów, trzewików i walonek unosiło po kropli

wszystko błoto, lub też wdeptywało je w ziemię. Teraz na nawozie i błocie sterczały cegły, i wszystko to tonęło w smrodzie.

Prawie codziennie chodziłem na ulicę Gorstkina i szukałem brata. Stałem godzinami około tego miejsca, które mi wskazała Marja Romanowna.

Bez powodzenia. Zupełne fiasco.

Zmęczony wracałem do domu.

Poszedłem i w sobotę Łazarza przed Wielkim tygodniem.

Literalnie cała ulica była zatłoczona przez ludzi. Ze Siennej nikogo ze straganami nie wpuszczali, lecz na bulwarze Fontanki wielu rozłokowało się ze straganami i stołami z przeróżnymi towarami, po większej części skórzanymi. Tutaj też pili gorącą herbatę, jedli i strzygli się. Fontanka usługiwano przyjmowała na swoje brzegi wszelkie odpadki.

Krzyki... Co takiego? Jakaś kobieta ze straganem przeszła ku Siennej. Akurat rzucili się na nią dwaj czerwonogwardziści. Jeden z całej siły uderzył kobietę w plecy. Upadła i pierożki jej potoczyły się przed nią po jezdni. Niosła te pierożki gorące, okrywwszy je ręcznikiem.

Nawet nie zapłakała. Wsparła się na łokciu.

— Ech... nic ja dzieciom dziś nie przyniosę...

Czerwonogwardziści podnieśli pierożki, podmuchi na nie i zaczęli jeść.

— Smaczne... Stara djablica.

— Patrz: druga.

Rzucili się na starszą kobietę.

— Co niesiesz pod fartuchem?

— Nie twoja rzecz.

— Macaj.

— Lecz ja nic nie mam.

Czerwonogwardziści zaczęli palcami pchać staruszkę.

— Patrzcie, jaka tłusta!...

— A wy co, krwiopijcy, przyczepiliście się?

— Co?...

— Puśćcie.

Zaszło coś nadzwyczaj głupiego, bezsensownego, haniebnego. Kobieta chciała gdzieś iść, dlaczegoś jej nie puszczali. Nie puszczali ani w prawo, ani w lewo. Wymyślali. Pchali ją.

— Toż puść, djabie.

Zamachnęła się. Chciała uderzyć czerwonogwardzistę. Lecz ten odbił uderzenie. Kobieta zawyla. Potem, nie pomna co czyni, rzuciła się na czerwonogwardzistów. Szarpali ją. Wrywała się. Nieludzko pissała. Nie wiem, czy sama upadła, czy też powalił ją na ziemię czerwonogwardzista, tylko kobieta znalazła się na ziemi. Schwyciła czerwonogwardzistę za szynel. Ten wrywał się. Uderzał ją szpicem buta. Lecz kobieta nie przestawała. Leżąc na ziemi, w kałuży, kopła nogami.

— Bierz ją za nogi.

Czerwonogwardziści schwytali ją za nogi. I powlekli po ziemi. Głowa uderzała o kamienie. Spódnica zawinęła się do pasa. Widać było szare, ciemne pończochy i pantaloney. Rozśmieszyło to czerwonogwardzistów.

— Wieź dalej.

Krzyki kobiety ściągnęły publiczność. Młodzież chichotała. Czerwonogwardziści, zachęceni krzykami, ciągnęli oszalałą kobietę.

— Czy to twoja matka? — spytałem jednego z czerwonogwardzistów.

— Jaka matka?

— Twoja rodzona matka.

Puścił nogę. Puścił i drugi. Zirytował się.

— A ty czego tu leziesz? Ja ci mordę zbije.. Matka?.. A jeszcze rodzona. Moja matka na wsi... I jego też... no co, wzięłeś?..

Kobieta wstała i poczęła poprawiać suknię.

— Oni i matki nie pożałują.

— No, gadaj jeszcze. Mało ci. Ty lepiej podrap się w z.... A będziesz jeszcze gadać, to ja ciebie, jak psa...

I czerwonogwardzista nachylił się i podniósł potężny kamień.

— No, towarzyszu, rzuć go — rzekłem uspokajająco — czego staruchę straszysz. I tak już dostała.

— Przyjdzie do domu, nieprędko, przypuszczam, zapomni...

— Prawda. Dostała, co trzeba... A oto co, towarzyszu, lepiej... Czy trafisz tym kamieniem... oto tam...

— Gdzie?..

— A oto na rogu ściany szkło... Już jest rozbite.

— Szkło? A ty nie widzisz, że tam obraz...

— Czyż nie wszystko jedno... Rzucaj.

— A ty myślisz, że nie rzucę?

— Nie, nie rzucisz, towarzyszu.

— A oto rzucę. I to nic dla mnie nie znaczy.

— Złękiesz się.

— Kogo tam jeszcze? Czy nie ciebie?

— No, rzucaj.

— A rzucaj-że — dało się słyszeć z gromadki ludzi, która nas otoczyła: — Rzucaj...

Czerwonogwardzista zarumienił się. Oczy jego płonęły i przebiegały z jednej twarzy na drugą...

— No... no?... — podniecali go.

— A otl...

I rozmachnąwszy się, z całej mocy rzucił kamieniem w stronę obrazu.

— Omal nie trafił...

Ja już odchodziłem od tłumu. Wiedziałem, że obraz pozostanie cały. Czerwonogwardziście, mimo wszystko, drgnie ręka. I drgnęła. Lecz on, widocznie, jeszcze bardziej rozżłościł się. Podniósł kamień i rzucił we mnie. Kamień upadł u moich nóg.

Wtłoczyłem się znów w tłum. Na lewo była krata, tam też w stosunkowym porządku rozłożyli się sprzedawcy. Nawet urządzili coś w rodzaju straganów.

Wpatrywałem się w tłum. Migaly wszelkiego rodzaju twarze. Lecz brata nie było... Pchano mnie. To wyrzucano na środek ulicy, to z wielkim trudem musiałem przedzierać się około rozstawionych na skraju chodnika straganów.

Naraz tłum drgnął cały. Rzucił się w jedną stronę. Natychmiast cofnął się w tył. Rozległo się straszne słowo:

— Obławal...

Zaczęło się coś dzikiego. Od strony Fontanki i z drugiego końca Gorstkinoj ulicy ukazali się konni czerwonogwardziści i wozy. Za nimi oddziały pieszych czerwonogwardzistów. Z dwóch stron nacisnęli tłum.

Wtłaczali się w tłum, działając kolbami. Wszystko, co znajdowało się na rynku, rzucono na wozy. Leciały palta, jabłka, ryby, buty. Sypano na kupę ze straganów wstążki, igły, nici. Rzucali mięso. Kasza rozsypała się i spadała z wozów na ziemię. Wozy szybko napelniły się.

Niektórych aresztowali, niektórym wprost dawali kolbą w kark i wyrzucali na bulwar. Ci, któ-

rzy byli zręczniejsi, ratowali się ucieczką. Innych łapali i okrutnie bili.

Wykręciłem się tem, że mi porządnie wygnietli boki. Jakoś wydostałem się na bulwar Fontanki i, stojąc na moście, obserwowałem wszystko, co działo się na ulicy Gorstkina. Tłum znacznie przerzedzał się. Przewieźli dwa wozy, pełne narzucanych w nie towarów. Podjechały jeszcze dwa puste wozy.

Prowadzili kogoś dwaj czerwonogwardziści. Bez czapki. W ciemnem palcie. Błysnęły na niem miedziane guziki.

— To Józef... To, bezwątpienia, on!...

Zbiegłem z mostu. Widziałem, jak dwaj czerwonogwardziści trzymali go za ręce. Szli środkiem bulwaru w przeciwnym kierunku, ku Newskiemu. Do targu Aleksandrowskiego. Publiczności na ulicy było stosunkowo mało.

O, znakomicie znałem chód brata. Wątpliwości nie miałem. Trzeba zobaczyć, gdzie go prowadzą. Szli wzdłuż bulwaru.

Zwróciłem uwagę, że trotuarem szła dziewczyna. Ubrana poprostu. W chustce. Rzucił mi się w oczy jeden drobiazg. Szła nie zwykłym krokiem. Krokiem albo spacerującej, albo idącej za interesami. Nie. Rytm jej i szybkość zgadzały się z moimi. Ja swój krok dostosowywałem do kroków czerwonogwardzistów. Jeżeli oni zwalniali krok, to i ja mimowoli szedłem wolniej. Było to zupełnie zrozumiałe, gdyż uważałem na brata. Dziewczynka szła właśnie tak, jak ja, jak czerwonogwardziści i brat. Wydało mi się mimowoli, że jest jakoś związana z tym aresztem.

Przy rynku Aleksandrowskim czerwonogwardziści skręcili na lewo, do mostu. Dlaczegoś wypuścili go z rąk. Widocznie, wiedzieli, że areszto-

wany teraz nie może uciekać. Szedł z nimi równym krokiem, i szedł spokojnie, nawet pokornie.

Zaznaczę, że miałem z bratem umówiony świsł. Bardzo prosty. Nikt by nie mógł zwrócić na niego uwagi, lecz ja i brat znaleźliśmy jego właściwość. Zawsze mogliśmy rozróżnić to w świsłcie, co u innych nie zwracało uwagi.

I w tej chwili, gdy czerwonogwardziści skęcili na lewo i zdjęli z ramion jego ręce, świsnąłem.

Świsnąłem wyłącznie dlatego, ażeby dać bratu znać o sobie. Że jestem tu. W Petersburgu. On, napewno, uważa mnie za zabitego dawno. Niech wie, że żyję. I wyłącznie dla tego świsnąłem.

Minęła po moim świsłcie nie więcej niż minuta. Józef jakoś skoczył. Uderzył odrazu rękoma obydwóch czerwonogwardzistów i zanim ci zdążyli przyjść do równowagi, począł uciekać w stronę targu.

Panienska krzyknęła. Zatrzymała się na miejscu i, podniósłszy ręce, zakryła twarz obydwoma dłońmi.

Zaczęła się bezładna strzelanina.

Brat przebiegł prawie obok nas. Wpadł w bramę targu i zaraz znikł. Czerwonogwardziści biegli. Strzelali w biegu. Również w ślad za nim wbiegli do bramy.

No, teraz jest ocalony.

— Niech się pani nie boi. Nie złapią go.

Odjęła ręce i z niemem przerażeniem patrzyła na mnie. Cała drżała.

— Niech pani idzie. Proszę powiedzieć mi tylko: u djakona soboru Nikoły Morskiego.

Nie ukloniwszy się, nie spojrzawszy nawet na dziewczynę, skręciłem na prawo i poszedłem

wzdłuż brzegu, obok zabitych deskami magazynów antykwariuszy, Wozniesińskim prospektem.

Wszystko było spokojne, ciche. Szli ludzie, jak zawsze. Obojętni, szarzy, nudni, jak domy obdrapane i szare. Jedni umierający, drudzy nieboszczycy. Czuło się w duszy, że nadchodziła Wielkanoc, lecz pełna lęku, zapędzona. Uznana przez niewielu z pozostałych w mieście.

Wszyscy pomodlili się i wrócili do domu zmęczeniu. Siedziałem z ojcem Cyrylem i Wasią i piłem herbatę. Obok mnie leżała na krześle Filka i drzemała.

Picie herbaty dla naszej malutkiej rodziny obywatelskiej stanowiło wielką przyjemność i zadowolenie.

Dzień przez wszystkich nas przeżywany był ciężko. Wrażenia dnia były ciężkie. Niania szukała pociechy w tem, że modliła się. Więcej o spokój duszy księżniczki, niż o siebie. Nie opuszczała ani jednego nabożeństwa, chodziła do klasztoru Nowodziewiczego. Nosila na mogile księżniczki kwiaty. Pozostały czas kręciła się w kuchni. Ażeby obiad dla nas podany był w porę, wszystko zawczasu przygotowywała i kiedy wracała z cerkwi lub z cmentarza nic jej nie zatrzymywało. Kiedy miałem czas wolny, pomagałem jej, lecz gdy tylko na horyzoncie naszym pojawił się Wasia, w życiu naszym wziął on duży udział. Rąbał drzewo, szykował drzazgi do samowaru. Obierał kartofle i zamiatał podłogę. Ma się rozumieć, obiady nasze nie były zbyt wymyślne. Trzeba było zadawałniać się tem, co otrzymywałem. W Wielkim tygodniu jedliśmy wszystko z postem. Mięso oddawaliśmy Wasi dla jego matki, która koniecznie musiała się pokrzepić.

Wasia przywiązał się do nas bardzo. Praco

wał u nas i biegł zaraz do domu, ażeby i (tam pomagać. Zabierał z sobą obiad, ułatwiając w ten sposób pracę matce.

Ojciec Cyryl, pomimo swego wieku, był dostatecznie silny. W ostatnich czasach poprawił się i nie tak męczył się po nabożeństwie, jak przedtem.

W domu naszym panował spokój i pomyślność.

Ciągle spotykając się z parafjanami, djakon dowiadywał się od nich o wszystkich nowościach i przynosił je nam. Czytaliśmy nawet gazety. Lecz wypadki polityczne mało nas interesowały. Wogóle było wciąż jedno i to samo. Czytaliśmy, że wszystko było bardzo dobrze, lecz w rzeczywistości wszystko było złe. W gazetach było jawne kłamstwo, a prawdy myśmy nie wiedzieli. Tylko ojciec Cyryl opowiadał nam, że taki to został rozstrzelany, ten znów zabity, ten umarł z głodu. Prawie codziennie słyszeliśmy o śmierci kogokolwiek ze znajomych ojca Cyryla.

— Oto i matka — ihumenja Serafima zmarła.

Akurat niania stała przy stole i słuchała ojca Cyryla. Spojrzała na mnie. Zrozumiałem jej spojrzenie. I odpowiedziałem na to spojrzenie.

— Wiem. Byłem na panichidzie.

Niania powiedziała mi, żebym był w klasztorze. Znaczy się, zawiadomiła, gdzie znajduje się Marja Romanowna. Odpowiedziałem, że byłem na panichidzie po matce — ihumenji Serafimie. Znaczy się, że widziałem Marję Romanownę. Obydwoje zrozumieliśmy się wzajemnie.

Teraz zdecydowałem się po nocach nie wychodzić i czekać na brata. Nie trzeba było chodzić i na targ. Czasu miałem dużo. Na szczęście, w Wielkim tygodniu, po długiej dyskusji i sporach,

zostały odwołane u marynarzy wszystkie wieczory. Chcieli urządzać wieczorynkę zamkniętą. Lecz powiedziałem, że nie mogę, gdyż boli mnie ręka. Z powodu mnie prawie zepsuł się wieczór u Simona Isaicza. W czwartek w Wielkim tygodniu chciał on znów zaprosić gości. Był to kaprys Ksieni, która chciała zabłysnąć między znajomymi Simona Isaicza. Miała nową piękną suknię, trzewiczki, ciepły zakiet i in. W domu Piersohna stała się swoim człowiekiem. Jadała u niego obiady, śniadania i piła kawę. Piersohn woził ją swoimi końmi i bywał z nią w teatrach. W domu bywała rzadko. Lecz niekiedy cieszyła ojca, kiedy przynosiła mu papierosy. Trzy sztuki, a niekiedy pięć. Tę porcję ustanowił sam Piersohn. Kiedy wychodziła od niego do domu brał z pudełka trzy sztuki papierosów i mówił:

— To dla waszego ojca.

Fiedor Ignatjicz powoli przystosowywał się do życia. Zaczął sam rąbać drzewo. Pomagał wyciągać belki z rozebranej barki na kanale Kriukowym, i otrzymywał za to swoją porcję. Sam je piłował. I ta część trwała u niego długo, raz jeden pozwolił sobie napalić w piecu. Otrzymał jakieś miejsce z deputatem. Oprócz tego, żona marynarza, który mieszkał z nim razem w jednym mieszkaniu, pomagała mu i obdarzała ją rzeczami, pozostałymi po odejściu Marji Romanowny z domu.

Wszystko to mi sam opowiedział, kiedy razu pewnego znów go spotkałem przy bramie, i nawet powtórzył zdanie Ksieni.

— Napewno ona myśli, że my bez niej zginiemy.

Ona — to, ma się rozumieć, Marja Romanowna.

Słowem, życie powoli poddało się regime'owi

bolszewików, obywatele też powoli poczęli przystosowywać się, i wszyscy jednogłośnie mówili, że teraz żyło się znacznie lepiej, niż przedtem.

„Człowiek nie świnia, do wszystkiego przywyknie“.

Kiedy w Wielkim tygodniu czujący się trochę lepiej Iwan i jego kum wyszli do ogródka, z obwiazanymi głowami, ażeby tam posiedzieć, ogarnął mnie śmiech.

Szczery śmiech. Nie wiem dlaczego nie byłoby śmiesznem, gdyby jeden był z rozbitą głową, kiedy obydwa z rozbitymi głowami, to mimowoli wywołuje śmiech. Zupełnie, jakby obydwa stuknęli się głowami i zachorowali.

Obydwa byli i marni i śmieszni.

Trochę wyprzedzam wypadki, lecz powiem, że obydwa nie zdecydowali się spowiadać i komunikować w Wielkim tygodniu. Tylko Iwan przyszedł do ojca Aleksandra i długo z nim rozmawiał. Treści jej ojciec Aleksander nie powiedział.

Ojciec Cyryl opowiedział nam interesującą opowieść, życie ihumenji Serafimy, byłej hrabiny. Słuchaliśmy jej wszyscy z wielką uwagą. Całe jej życie było jednym wielkiem poświęceniem. I opowiadanie ojca Cyryla wywarło na nas wielkie wrażenie.

Czas było spać. Wasia odszedł. Ojciec diaakon zamknął za sobą drzwi. Niania życzyła nam spokojnej nocy. Powlokła się do swojej kuchni. Położyłem się do łóżka, nie rozbierając się. I zaraz mocno zasnąłem.

Zdało mi się, że słyszę znajomy świst.

Fiu-it-fitl...

Zaraz zerwałem się. Podbiegłem do okna. Otworzyłam lufcik i słuchałem. Po pewnym dłuż-

szym przeciągu czasu świst powtórzył się. Odpowiedziałem.

Pogłaskałem Filkę, żeby nie warczała. Wyszedłem.

Widna noc księżycowa. Akurat księżyc zbliżył się do krzyża na dzwonnicy i otoczył go swoją złotą aureolą. Czarne drzewa rzucały na ziemię tak gęsty cień, że wydawało się, jakby same drzewa na ziemi leżały. Lęk przejmował przy stąpieniu na te cienie. Chciało się przez nie przeskakiwać. Od ziemi, od pni drzew, od domu i cerkwi wiał zapach wiosny. Kałuże już podeschły i ziemia parowała, oddychała, napełniała powietrze wiosennym zapachem. Oto wkrótce ziemia zazieleni się, popękają pączki, ukazą się liście i wtedy zapach ten stanie się mocnym, zgęszczonym, słonecznym. A teraz jest jakby ukrytym, i ledwie sączy się.

Patrzałem do ogrodu. W oddali pod drzewem stał cień. Zrobił ledwie dostrzegalny znak ręką.

— Kola!

— Józef!

Uściskaliśmy się i bez wstydu powiem: obydwaj zapłakaliśmy. Pod nogami było niewielkie wzgórze. Usiedliśmy na niem. Zrozumieliśmy, że gdybyśmy usiedli na ławce, mogli by nas zauważyć. Tu, na wzgórk, pod drzewem, w jego cieniu byliśmy bezpieczniejsi.

Uściskaliśmy się. I płakaliśmy. Józef wziął moją rękę. Całował ją. Całował twarz moją. Głaskał moje włosy, brodę.

Nic nie mogliśmy powiedzieć w tej chwili.

— Ty żyjesz... żyjesz!...

Był głęboko przekonany, że zginąłem. Szukał mnie, lecz wszystko, co mógł się dowiedzieć, potwierdzało jego podejrzenia o mojej śmierci.

— Żyje... żyje!.. — powtarzał.

— A ja, Józefie, miałem przeczucie, że ty uratowałeś się.

Zacząłem mówić, lecz urwałem... Nie mogłem.

— Drogi mój chłopcze... drogi mój... rodzony...

Zdawało się, że było to dalekie dzieciństwo, i ja pieszczę mojego malutkiego braciszka.

Długo nie mogliśmy uspokoić się. Zaczynaliśmy mówić o sobie. Przeskakiwaliśmy z jednego tematu na drugi, zadawaliśmy pytania. Mimo to z urywków zdań Józef dowiedział się wszystko o mnie. O wszystkich moich przygodach i wędrówkach.

Józef był nadzwyczaj zręczny, pomysłowy i sprytny, i to go ocaliło. Był wynalazczy na wszelkie pomysły i potrafił oszołomić człowieka niespodziewanem pytaniem lub wybrykiem. W tym kierunku był genialny. Słyszał nawet z tego w gimnazjum. Wszystko, co o nim się dowiedziałem, trudno powtórzyć. To mogło stanowić tomy przygód nie gorszych od Mayne-Reida.

Po znakomitym napadzie na mieszkanie Strielkowa, uciekł. Dostał się do czerwonej armji. Podążał na południe. Innego wyjścia nie miał. Podczas jednej z potyczek został zabity czy to palacz, czy smarowóz. Józef skorzystał z tej chwili. Momentalnie przebrał się w ubiór tego smarowozza. W kieszeni jego znalazł paszport. To wszystko, co było potrzebne Józefowi. Czerwoni po potyczce znaleźli parowóz. Zagarnęli go razem ze smarowozem i puścili w bieg.

Wtedy jeszcze nie wiedział o mnie i postanowił albo mnie znaleźć, albo cośkolwiek dowiedzieć się. Józef miał możność ucieczki z białymi, lecz zdecydował, że uciec z Rosji zawsze może.

Uważał za niehonorowe uciekać, nie spełniwszy swego obowiązku i pozostawiając mnie na wolę losu. Swjej pracy nauczył się szybko i udało mu się dostać na Mikołajewską drogę żelazną.

Oto w głównych zarysach to, co dowiedziałem się o Józefie, lecz cała ta, napozór nie skomplikowana, historia była pełna tak niewiarogodnych przygód, że dużo wydawało mi się nieprawdopodobnem. Zdawało się, że Józef zmyśla.

— Ja im razu pewnego urządziłem takie rozbicie, że jego nie zapomną. A teraz, Kola, należy działać wspólnie.

— To mój cel. Tylko, Józef, daj mi słowo, że dopóki wszystkiego nie omówimy i obmyślimy jak należy, nie będziemy nic robić, ażeby nie wywołać podejrzeń.

— Daję.

Opowiedział mi, że był na skraju śmierci, to jest rozstrzelania. Oskarżono go o zabójstwo jednego czekisty, którego znaleziono zabitego na torze kolejowym. Aresztowali. I długo dręczyli na Grochowej, i potem na Szpalernej.

Według opowieści Józefa sprawa przedstawiała się jak następuje. Był wyznaczony jako przewodnik pociągu towarowego. Siedział na platformie ostatniego wagonu. Na jednej ze stacji, w nocy, akurat do jego wagonu podszedł czekista, a za nim czerwonogwardziści prowadzili jakiegoś młodego człowieka, jeszcze zupełnego młodzieńca. Okazało się, że złapali białego oficera, który uciekł z więzienia.

— Sam go dowiozę do następnej stacji—rzekł czekista.

Młodzieńca zmusili do wejścia na platformę, na której siedział Józef. Za nim wlaźł i czekista. Wkrótce pociąg ruszył. Józef położył się na bre-

zencie i udał, że śpi. Młodzieniec siedział spokojnie, jak złapana myszka. Czekaista cały czas uważał na niego i trzymał rękę na kolbie rewolweru. Lecz młodzieniec nie miał nic do stracenia. Wszystko jedno, miał być rozstrzelany za pół godziny, godzinę... Józef widział przez wąską szczelinę powiek, jak naraz młodzieniec zerwał się i rzucił na czekaistę. Wprost schwytał go za gardło i przewrócił na wznak. Czekaista wystrzelił, że zaś młodzieniec leżał prawie na czekaście, ręka jego okazała się poza młodzieńcem. Zaczęła się uporczywa walka. Pociąg szedł akurat dość szybko. W tyle wagonów już nie było. Jedna chwila — i mogli obydwaj runąć z platformy. Józef doczekał się dogodnej chwili i kiedy czekaista był plecami na skraju platformy, tak mocno pchnął czekaistę, że ten upadł na szyny nawznak i, jak widział Józef z oddalającego się pociągu, nie wstał. Ostrożnie potem spuścił młodzieńca, a sam przeszedł do jednego z pierwszych wagonów. Okazało się potem, że czekaista rozbił się na śmierć. Młodzieniec uciekł. Lecz wszyscy kolejarze, będący na tym pociągu, zostali aresztowani. W tej liczbie i Józef. Na badaniu zręcznie dowodził, że jechał w przednim wagonie i temu uwierzyli. Lecz mimo to trzymali go w więzieniu prawie pół roku.

— A Sieroża dowiedział się, że jestem w więzieniu, bardzo prosto. Razu pewnego kazano mu nas, aresztantów, eskortować. I poznał mnie. Dowiedział się nawet, że zapisany jestem pod nazwiskiem Ilji Czyrkina.

Siostra skryła przedemną imię i nazwisko Józefa.

Była to jedna z nieznaczących przygód brata. W ostateczności jednak uwolnili go, i znów służył na kolei.

Opowiedziałem Józefowi, w jaki sposób od-
szukałem go.

Opowiedziałem i o Marji Romanownie.

— Zwróciłem uwagę, że kilka razy podcho-
dziła do nas i oglądała towar jakaś dama. Podob-
na bardzo do tej, którą opisywałeś.

— Nic z tobą nie mówiła?

— Nie. Interesująca twarz, a w szczególności
oczy i ich wyraz.

— Bolesne oblicze.

— Tak.. tak. Ty masz słuszość. Lecz wkrót-
ce wyjechałem po towar i więcej jej nie widzia-
łem.

Józef, służąc na kolei, często wyjeżdżał z po-
ciągami i przywoził z prowincji różną prowizję.
W Petersburgu sprzedawał ją na targu.

— Szkoda, że wszystko odebrali. Wiele rze-
czy zginęło.

— A kto jest ta dziewczyna?

— Córką generała Zariackawo.

Wszystko, co nam konieczne było wiedzieć,
wiedzieliśmy. Powiedzieliśmy sobie wzajemnie.

— Teraz koniecznem jest zdecydować, co bę-
dziemy robić?

Cel był nam wyraźny. I ja, i Józef dążyliśmy
do jednego celu.

— Kto z nami?

— Nikt. My we dwóch.

— To prawda. Nie można nikomu wierzyć.

— I ja to samo mówię.

— Sieroża zdrajca.

Józef wziął moją rękę. Patrzył w twarz
moją.

— A ja znam jeszcze jednego człowieka, któ-
ry będzie z nami, — rzekł.

— Kto?

— Marja Romanowna.

Zdziwiłem się. Zupełnie jej nie zna. Wreszcie, jest w klasztorze.

— Tem lepiej. Ja jej nie znam. Widziałem ją wszystkiego dwa razy, lecz mi się zdaje, że to twój przyjaciel.

— Kocham ją, Józefie.

— Mogłeś mi tego nie mówić. Zrozumiałem to ze słów twoich.

Ma się rozumieć, w tej chwili trudno było cokolwiek zdecydować. Nawet w zarysie. Należało wszystko zbadać, obmyśleć, omówić. Wyrażnem było, że systemy jakich używali rewolucjoniści — bombiści w czasach rządów carskich, musiały być odrzucone. Szpiegostwo, przebieranie się, zabójstwo z za węgla, wszystko to nie pociągało nas. A oprócz tego, dla takich wystąpień potrzeba było dużo ludzi. Nas było tylko dwóch. I zdecydowaliśmy nikogo więcej nie wciągać, gdyż nikomu nie mogliśmy wierzyć. Ryzykować swego życia nikt nie chciał. Zabójstwo Uryckiego i Wołodarskiego mieliśmy w pamięci. Ich zastąpili inni Uryckcy i Wołodarscy, a ci, którzy byli rozstrzelani, nie zmartwychwstaną. Tu odpowiadać będą tylko dwaj: ja i brat. Potrafimy dowieść, że jeżeli uda się nam zabić przywódców tej ohydnej bandy, to było to zrobione przez nas z przekonania osobistych i do sprawy tej nikt nie był zamieszany.

Okazja do takiego wystąpienia zawsze może się nawinąć. Zdecydowaliśmy, żebyśmy ja się mocno trzymał tej kompanji, w jaką wpadłem. Znajomość z komisarzem, z Piersohnem, z Gawryłą Anisimyczem i innymi była dla nas bardzo cenna.

Z łatwością mogłem się dostać do jakiegoś Pto, gdzie główną rolę grała artystka M. F. Andre-

jewna i zawrzeć znajomość z Gorkim (to mi radził komisarz Baltfloty), lecz Józef tylko zmarszczył się.

Między innymi, brat dał mi jeden adres. Adres tego mieszkania, gdzie mieszkała jego znajoma panienka. Ta sama, która była przy jego ucieczce podczas aresztowania. Córka generała, Zinoczka Zarieckaja.

Ledwie zaczęło świtać. Już trotuarem przeszedł jakiś cień. Cień, urodzony nie tą nocą, a który wyszedł z domu, ażeby spotkać dzień.

Czas było rozstać się.

— Ot co, stary, — rzekł Józef: Teraz ty musisz odpocząć. Zmęczyłeś się porządnie. Szukać mnie już nie potrzebujesz. A propos, proponujesz mi, ażebym przeszedł do warsztatów. Przedtem było to dla mnie niekorzystne. Więcej mi dawały jazdy. Lecz obecnie, raz ty tu jesteś, zgodzę się na to. Znaczy się, będę tu stale mieszkać. Gdzie my się będziemy spotykać i kiedy, momentalnie obmyślę i zawiadomię ciebie. A ty żyj cicho i spokojnie. Wysypiaj się. Nabieraj sił. Nie włóż się po mieście, szczególnie w nocy. Śpij lepiej. Nie radzę ci nawet chodzić do klasztoru.

Uśmiechnąłem się.

— Wszystko co trzeba, będzie za ciebie zrobione. Ty naszego abecadła nie zapomniałeś?

— Nie.

— Więc tak. Zaraz wybierzemy miejsce, gdzie ja będę kłaść listy. Ja lub Zinoczka. Gdy oto przyjdzie Wielkanoc, grywaj jak dawniej na balach i wieczorach. A tymczasem nie zaczynaj. Mówię, wszystko, co trzeba, będzie zrobione. Lecz trzymaj się bardzo różnych komisarzy i Piersohnów. Być może, usłyszysz co ciekawego lub zobaczysz... Dobrze?..

Znaleźliśmy pod deską ławki niewielką szczelinę i umówiliśmy się, że będzie ona naszą skrzynką pocztową.

Brat uściskał mnie. Chciał pocałować. W tym czasie od strony fortecy Petropawłowskiej rozległa się salwa. Salwa i zaraz po niej kilka pojedynczych wystrzałów.

Drgnęliśmy. Mocniej przytuliliśmy się jeden do drugiego.

— To kartaczownice. Rozstrzeliwują.

Staliśmy w milczeniu i nasłuchiwaliliśmy.

Miasto milczało. Było jeszcze pogrążone we śnie. Zmęczeni, bezsilni ludzie spali i widzieli sny.

Znów rozległa się salwa. Znów pojedyncze wystrzały.

— To rozstrzeliwują drugą partję. Pojedyncze wystrzały... Dobijają tych, którzy zostali tylko ranni. Znam te dźwięki dobrze... Minie jeszcze kwadrans — i dobiją trzecią partję.

Nie wytrzymałem. Nie wiem dlaczego rzuciłem się naprzód. Machnąłem rękoma. I krzyknąłem, co miałem mocy.

— Ratujcie... Czy słyszycie?... Ruskich zabijają... naszych braci...

Brat dopędził mnie. Objął i przycisnął głowę moją do piersi swojej tak, że krzyczeć nie mogłem. Odrazu umilkłem. Trzęsłem się, jak w febrze. Drżałem...

— Stój, Józefie... poczekaj. Jedną chwilę. Wszak ja jeszcze nie skończyłem swej mowy. Widzisz, publiczność z niecierpliwością czeka. Przyszli posłuchać mnie. Muszę... muszę im powiedzieć. Słowo... O, to wielkie słowo. Zapomnieli oni o niem. Prawda!...

Co? Ktoś chce również mówić. Znakomicie.

Posłucham. Zawsze trzymam się takiej taktyki. Niech wszyscy się wypowiedzą. Ja ich wysłucham. I będę mówić ostatni. Ot co: my usiądziemy tu. Znakomicie. Obok nas siada Marja Romanowna, Zinoczka. Jest ona prześliczną. Zakochany w niej jesteś, Józefie? To dobrze. Ma takie piękne oczy. Naiwne, jak instytucja. Czyste i jasne. I niania z nami. Wasia, siadaj tutaj... Ot tak dobrze. Śmieszne. Myślałem, że na ścianach wiszą portrety Lenina, Zinowjewa, Gorkiego... Nie. To oni sami tu przyszli... Oni żywi. Lecz jakie mają twarze! Boże mój!... Dziwne tylko, dla czego mają zielone ręce?...

— Krew... Krew....

Odwrociłem się.

— A, i ty, mieszczechu, jesteś tu. Bardzo dobrze. Jestem ci bardzo rad. I ty przyszedłeś posłuchać...

— Wyłącznie pana.

— Bardzo pochlebne. Wogóle ty umiesz w porę przychodzić. Jestem z ciebie zadowolony. Lubię z tobą porozmawiać. Ot co, powiedz, dla czego ludzie obecnie przestali strzelać do siebie, a żyją w tem strachu.

— Ze złości my żyjemy. Ze złości.

— Dobrze powiedziane. Lecz ciszej. Szymon Isaicz przyszedł. Patrz, jak wszyscy go czczą. Kłaniają mu się. A on kiwa swą ryżą głową z ptasim nosem.

— Towarzysze!...

— Zaczęli. Milcz. Sprzykrzyło się... Kto to mówi? Nie mogę jakoś dojrzeć. Oczy mi czemś zasłoniło.

— Wielki pisarz ziemi ruskiej.

— Brawo... brawo!... Słuchaj.

— Po jakiego diabła? Kanalje wy jakies, baleryny przeklęte i sine topielce...

— Kogo to on tak?

— He... he... nas.

— Wielkanoc?... A ja pluje na Wielkanoc...
I więcej nic wiedzieć nie chcę. I nic nie pragnę.
Kocham tylko Iljicza!

Splunął i usiadł na boku.

Na katedrę wszedł wielki człowiek, wygolony, tłusty, z kędzierzawymi włosami. Na tłustych zielonych rękach błyszczały czerwone rubiny. Seplenił.

— Towarzysze!

Mówił dużo i długo. Cała mowa jego zdawała się być podobną do jednej litery: u... Cały czas trzymał głowę, lekko odrzuconą w tył. Patrzył z zuchwałym uśmiechem. Mowa jego była płynna. Ani razu nie zatrzymał się. Nie dobierał słów. Lecz zwroty mowy jego nie były ruskie.

— Co takiego jest Wielkanoc?... Czyż ktośkolwiek z inteligentnych ludzi może uwierzyć w to, że człowiek, którego ukrzyżowano, mógł by ożyć? Fi... to takie brednie, przed którymi uszy zatykasz. I lud temu wierzył. To wszystko jedno, że ziemia wspiera się na trzech wielorybach. Czyż teraz może kto w to uwierzyć? A jeszcze pozostali tacy, którzy myślą, że wszystkie te bajki o jakimś tam Chrystusie były prawdą. To wasi popi wbijali wam w głowę, i kto temu nie wierzył, tego siekli. Jego pogrzebali. I on tam trzy dni leżał... Tak, trzy dni... I wy myślicie tam, gdzie jest tak ciepło, nie uległ on rozkładowi?... To trzeba mieć głupstwa w głowie, ażeby temu wszystkiemu wierzyć... No, dobrze. Kto powie cośkolwiek przeciw temu?...

• — Niech powie nierozumny.

Wszedłem na katedrę. Wszyscy umilkli.

— Chrystus zmartwychwstał — rzekłem.

— Zaprawdę zmartwychwstał! — krzyknął
cały tłum.

— Chrystus zmartwychwstał!

— Zaprawdę zmartwychwstał...

3. Chrystus Zmartwychwstał.

— Chrystus zmartwychwstał!

— Zaprawdę zmartwychwstał!

Czułem, jak cały tłum radośnie i pełen świet-
lanych nadziei odpowiadał ojcu Aleksandrowi.

Stał przed tłumem, podniósłszy krzyż. Po
twarzy jego spływały łzy.

Chór śpiewał:

— Chrystus powstał z martwych...

Modlący podchwycili śpiew. I w tej ogólnej
modlitwie odżyło dawne życie. Odżyła dawna
Ruś.

— Śmierć śmiercią zwyciężył i będącym
w grobach żywot darował.

Modlili się. Migaly ręce. Ściskali się. Winszo-
wali jedni drugim i trzykrotnie całowali się.

Ludzi było tak dużo w cerkwi, że mimowoli
poddawałem się temu tłumowi. Chciałeś stać, lecz
spychali cię z miejsca. Chciałeś przejść, i trzeba
było tłoczyć się na jednym miejscu. Lecz to nic.
Przywykłem widzieć cerkiew pustą, i było dobrze
na duszy, że w ten dzień ludzie nie zapomnieli
o swojej cerkwi.

Wyparli mnie do wyjścia. Tu tłum jeszcze
bardziej się stłoczył. Trzeba było stać bez ruchu.
Na lewo przy mnie jakaś kobieta modliła się i, nie
ocierając łez, patrzyła na ołtarz. Na prawo dwaj
marynarze. Szeptali o czemś.

— Gotowe u ciebie?

— Tak. Jest w kieszeni. Trzymam go.

— I ja również. Tylko wszystkie kule wypuściłem.

— Zaczynać, czy co?..

— Zaczekaj chwilę.

Zacząłem przysłuchiwać się. Rozmowa wydała mi się podejrzaną. O co idzie? Co oni zamyślają.

Kiedy razem z modłącymi szedłem wokół cerkwi, usłyszałem częste wystrzały. Dokazywali marynarze. Straszili. Nie mając co robić włóczyli się po ulicach i, jeżeli spotkali kogoś na ulicy, idącego do cerkwi na jutrznię, niespodziewanie strzelali nad samem uchem. Zabawiał ich przestraszczeniem... Gdy wykrzykiwali. Cofali się w bok. Padali na ziemię.

I ta niewinna rozrywka zabawiała ich.

Chowali się za rogiem. Oczekiwali na ofiarę i, skradając się, strzelali.

Śmieli się głośno.

— Napewno stchórzyłeś, towarzyszu?..

Ma się rozumieć, wystrzał w cerkwi mógł przestraszyć modlących się. Mogła wybuchnąć panika. Jak temu zapobiedz? Mówić z nimi było niemożliwym.

Oto już marynarz wyjął rewolwer. Marynarza ścisnęli tak, że nie mógł podnieść ręki, ażeby wystrzelić do góry, nad tłumem.

Skorzystałem z tego. Umyślnie urządziłem ścisk. Marynarz upuścił rewolwer.

— Eh, djabeł!

Nachylić się nie mógł. Wypadek był pomyślny. Napierałem na marynarza. Publiczność mnie spychała, wypełniała to miejsce, z którego schodziłem. I znaleźliśmy się daleko od tego miejsca, gdzie leżał rewolwer.

— Rozwora przekłeta, — wymyślał drugi marynarz.

Odparłem ich do samych drzwi.

— Idziemy. Niech ich djabli...

Włożyli swe czapki bez daszków i wyszli z cerkwi. Wyszedłem również razem z nimi. Przedostać się znów do cerkwi było niemożliwe.

Oprócz nas wokoło cerkwi stało dużo ludzi. Widniały czapki marynarskie.

— Rewolwer w cerkwi zgubiłem. Chcieliśmy tam postrzelać.

— Świetnie by było, — podchwycili nadchodzący marynarze.

— Wszystkie naboje mi wyszły. Zaraz nabiję.

— Ja mam również.

— Nie wtłoczysz się. Dawaj tutaj.

I marynarze dali jedną salwę.

Lecz dziwne. Prawie nikt nie zwrócił na to uwagi. Przeszedłem naokoło cerkwi. Tu i tam trafiały się figury. Chodziły parki. Przytulając się do siebie. Marynarze. Chcieli wesoło spędzić tą noc.

Zaszedłem za cerkiew. Od strony, gdzie stał dom dla stróżów. Dojrzałem dwie postacie. Rzucały się w oczy białe bandaże na głowie i białe ubrania.

Stróżka, Iwan i kum.

Ułękli się wejść do cerkwi.

Obeszłem cerkiew i bez celu stanąłem na boku.

— Pięknotko, gdzie?.. gdzie?..

Dziewczyna rzuciła się w bok.

— Hej, poczekaj...

Marynarz pobiegł za dziewczyną. Ta podążyła, widocznie, do cerkwi.

— Towarzysze... Zatrzymajcie ja...

Inni marynarze natychmiast pobiegli naprzód i zagrodzili drogę dziewczynie.

— Zostawcie... Zostawcie mnie. Przepuście do cerkwi.

— Zdażysz. Pozwól nam popatrzeć na ciebie.

— Patrz, jaka pięknotka!

— Będzie wesoło.

— Święcone, widocznie, jest ci potrzebne...

Postna jeszcze...

Słowa marynarza zagłuszone zostały chóralnym śmiechem.

— Zostawcie... Puście.

Ci, którzy stali przy drzwiach, z przerażeniem, lecz milcząc, cofnęli się.

— Boże!.. Boże!.. — szeptała dziewczyna.

Nikt nie ośmielił się stanąć w jej obronie, ani protestować. Wiedzieli dobrze, że tem tylko jeszcze więcej doleją oliwy do ognia.

Dziewczynę schwyтали i powlekli od cerkwi. Stałem w oddali, nie widziałem twarzy dziewczyny. Dlaczegoś jednak chustka jej wydała mi się znaną, lecz to była tylko chwila. Natychmiast o tem zapomniałem.

— Stój! Co ona ma w ręku?

Cała wataha marynarzy zatrzymała się. Było to odwa kroki odemnie. Dziewczyny nie było widać z poza wysokich postaci marynarzy. Naraz wszyscy zamilkli. Okazało się, że otoczywszy w koło dziewczynę, nachylili głowy.

— Mam tu latarnię...

Wewnątrz koła pokazało się światło.

— A to co takiego?

— Nie wiem, — z przestraczem wyrzekła dziewczyna.

— Tu coś napisane?

Podeszłem również. Podniosłem się lekko na palce.

— Boże, to Zinoczka... Czyżbyż miała ona notatkę dla mnie od brata.

Ma się rozumieć, z tych cyfr, kropek i laseczek, z tego naszego alfabetu nikt, oprócz nas dwóch, nie zrozumieć nie mógł. Ktoś podszedł do tłumu, stanął obok mnie. Zaczepił mnie za rękaw.

— Cud... cud!..

W pobliżu rozległ się wystrzał. Krzyki:

— Na pomoc!.. Na pomoc!..

— Marynarza zabili... Towarzysza...

Tłum drgnął.

— Tam... przy kanale Kriukowa... Pomóżcie towarzysze.

I wszyscy marynarze pobiegli w rozsypce do wyjścia z bramy ogrodzenia.

Zapomnieli o dziewczynie.

Zinoczka!

Wziąłem ją za rękę i odprowadziłem na drugą stronę. Zaraz utonęliśmy w ciemnościach. Wyszliśmy przez furtkę około domu stróżów.

Przeszliśmy niewielki placyk i skręciliśmy na most. Z niego na Sadową.

— Tymczasem milczeie...

Spotykaliśmy jeszcze marynarzy. Wbrew zwyczajowi tej nocy chodziło po ulicach wielu ludzi.

Znów skręciliśmy w zaułek i wyszliśmy na Fontankę.

Zinoczka nie zdążyła jeszcze przyjść do siebie z przerażenia, zaczęła mówić z trudnością. Ledwie chwytiała powietrze.

— Co mogło być! — rzekła ze strachem.

— Mogło, lecz nie było, — odpowiedziałem rzeźko, i starałem się natchnąć Zinoczkę otuchą.

— Józef posłał mnie po pana... Jeżeli nie znajde, to powinnam była położyć notatkę. Wiedziałam gdzie.

— A co się stało?

— Byłam u Marji Romanowny.

— A czyż pani ją zna?

— Poznałam się.

— Jakim sposobem?

— Brat pana powiedział, gdzie jest ona. Pojechałam tam i poznałam ją z jego opisu. I wiedziałem ją. Na ulicy Gorstkina. Sprzedawałam tam. A ona podchodziła. I ona mnie poznała. Dwa razy byłam u niej w klasztorze. Byłam u niej w celi. Dziś zaszłam. Siedziałyśmy z nią na dworze. I rozmawiałyśmy. Naraz przyjechali z rewizją. Donieśli, jakim się dowiedziała, że u zmarłej matki — ihumenji jakoby przechowywane były jakieś carskie dokumenty... Jakaś korespondencja. Lub czyjeś pamiętniki... Wszystko opieczętowali. Nawet nie pozwolili odprawić jutrzni. Nazjeżdżało się mnóstwo czerwonogwardystów i czekistów. My z Marją Romanowną niespostrzeżenie wyszłyśmy z podwórza na ulicę. I przyprowadziłam ją do siebie. A tu u nas brat pana. Zaraz mnie posłał po pana.

— I o mało pani nie wpadła, — reześmiałem się.

— Panu dobrze się śmiać. A mnie jak?

— Przeszłość nie jest straszną, kiedy wszystko dobrze się skończyło.

— Dobrze. A oto brat pana mówi, że obawia się, żeby pan głupstw nie narobił.

Roześmiałem się z naiwnego zdania Zinoczki.

— Ja? Głupstw?

— Jeszcze by. On mówi, że po panu wszy-

stkiego się można spodziewać. Pana trzeba pilnować.

— Ja mam nianię. Ona mnie pilnuje. I karmi mnie i spać układa.

Zinoczka roześmiała się.

— Oto jaki pan jest. Wokoło wszystko tak straszne, a pan się śmieje.

— Taki jestem. Nie darmo wszyscy nazywają mnie nierozumnym.

Zinoczka zrobiła poważną twarzyczkę, podniosła wzrok na mnie i uważnie popatrzała na mnie. Było ciemno lecz więcej czułem jej spojrzenie, niż widziałem.

— Niech pan tak nie mówi Pan nie jest nierozumny.

— A kto?

— Pan... Pan święty.

Musieliśmy iść więcej niż godzinę, pomimo to, że szliśmy dość szybko i rzeźko.

Huczały dzwony, lecz ja im nie wierzyłem. Była Wielkanoc, lecz teraz, w danej chwili, jej nie było. Były to tylko wspomnienia. I te dzwony, i płonące w cerkwiach świece, i ci modlący się. Nic z tego nie było w rzeczywistości. To moja wyobraźnia rysowała mi obrazy przeszłości odległych czasów. Nic nie było. Nie miał się kto modlić. Nie miał kto odprawiać nabożeństwa i obwieszczać ludowi „Chrystus zmartwychwstał!“ Nie było gdzie się modlić.

Świątynie prawosławne były zburzone. Widzę tylko nagie, obdarte mury. Wiem, że ikonami palono w piecu, wszystko srebro i złoto i cenne kamienie w rękach Szymona Isaicza.

Wyraźnie. Czyż ja się mylę?.. Czyż to nie on stoi w swoim salonie z dłutkiem i cęgami? Czyż to nie on z złotych sukienek wydłubuje brylanty

i perły i, zważywszy je na dłoni, odkłada do oddzielnego pudełka.

I starcza twarz jego, pomimo to, że ma dopiero dwadzieścia pięć lat, uśmiecha się, zęby składają się w lubieżny uśmiech. Dolna tłusta warga jeszcze bardziej wysuwa się naprzód. Jest zadowolony. O, ile karatów w tym kamieniu!

Srebro odrzuca na bok. Jedna sukienka pada na drugą, wydając metaliczny delikatny dźwięk. Subtelna, filigranowa sukienka wysunęła się naprzód i dźwięczy. Żałośliwie, jakby płakała.

Wszystko to srebro pójdzie na stop. Jutro chciał przyjść żyd Krubel. On wszystko zakupi. Ma dużo pieniędzy. Ma za co skupić to srebro.

— Dajcie mnie kamienie. Ja je dobrze sprzedam.

Nagie ściany zamiast ikon. Czarne wkłęsnięcia. Wybite okna.

Widziałem sam, że w koszarach na Kirocznej ulicy zburzyli cerkiew domową, i na tem miejscu, gdzie był ołtarz, gdzie stał tron, teraz postawiony był fortepian. I jakaś żydówka waliła sprośne piosenki, a czerwonogwardziści podśpiewywali.

— Jeszcze raz, towarzysze... zaśpiewajcie.

Nikołaszka strzeż się,

Dam ja tobie w...

A kto ma odprawiać nabożeństwo? Gdzie duchowieństwo nasze? Jedni rozstrzelani, drudzy męczą się w więzieniach, a trzeci piszą statuty nowej religii pod przewodnictwem...

Nie pamiętam nazwisk...

A gdzie modlący się? Jest lud. Lecz poszedł on na tańce.

To, co ja teraz widzę to wspomnienie. To świat-

ło dawno zgasłej gwiazdy. To światło ja widzę,
a gwiazdy niema...

— Nikołaj Wasiljewicz...

— Co, droga Zinoczko?..

— Pan wierzy w cuda?

— Ma się rozumieć. Widzę na każdym kroku. Czyż to nie cud, że znalazłem ikonę. Czyż to nie cud, że idą z panią? I zobaczę Marię Romanową. Droga Zinoczko, ja tak ją kocham.

— Lecz ona jest mniszką.

— A ja wiedziałem, że ona do klasztoru pójdzie. Dawno to wiedziałem. Teraz matka właśnie powinna mieszkać w klasztorze. W zamknięciu. Przed obraniem jej na tron wszechrosyjski. Jak pierwszy Romanow... Michał. Przed powołaniem na tron cierpiał w więzieniu.

Zatrzymałem się.

— A wiecie, Zinoczka, co? Pani wie, kto powinien wstąpić teraz na tron wszechrosyjski?... Powinien być wybrany na niego mnich. Tak... tak. Obowiązkowo mnich. Patrjarcha... On...

— Teraz można wskrzesić ziemię ruską tylko słowem Bożem. Tak... Niech nasz nowy car, car mnich, prosi Pana, ażeby Chrystus zeszedł na ziemię. Niech On tylko przejdzie po pustyni, gdzie była Ruś. I przeżegna ją znakiem krzyża świętego. Nie krwią trzeba odkupywać krew, a pokutą wielką. I ludzie zrozumieją Boga... Niech panuje nad nami wielki posłusznik Boga, mnich. I niech matki wychowają na ziemi, przepojonej krwią, nowe, jasne pokolenie.

— Oto tu mieszkamy.

Weszliśmy na podwórze. Zagłębiliśmy się w ciemny otwór i poomacku poczęliśmy wchodzić po schodach. W jednym z mieszkań otworzono drzwi. Na schodach wtargnął razem z światłem

gwar pijanych głosów. Lecz drzwi zaraz zatrzęsnięto. Światło i gwar znikły.

Do jednych drzwi Zinoczka zapukała. Prawie zaraz dały się słyszeć kroki.

— A, Kola? No, to dobrze. Idziemy... idziemy...

W niewielkim pokoju przy stole, postawionym na środku, siedziała Marja Romanowna w czarnej szacie nowicjuszki i jakiś generał. Zaraz domyśliłem się, że był to ojciec Zinoczki. Zdumiało mnie to, że był w pełnym mundurze galowym, z epoletami i orderami na piersi.

Twarz Marji Romanowny była spokojna, chociaż bardzo blada. Piła herbatę w milczeniu, spuściwszy oczy.

Zinoczka i ja powtórzyliśmy im wszystko, co z nami zaszło. Józef oburzał się. Generał wzruszał ramionami, kiwał głową.

— I to ludzie! O marynarzach nie można powiedzieć, żeby to był ciemny naród. Pod względem swego rozwoju umysłowego stoją oni znacznie wyżej od chłopą. Lecz.

Zinoczka z trwogą patrzyła na ojca. Wzięła go potem za rękę.

— Papo, nie będziemy o tem mówić.

— Tak... tak, Zinoczka... Masz słuszość.

Kiedy Józef poniósł samowar, ażeby go rozgrzać, Zinoczka poszła z nim. Dobiegał ich szept. Zinoczka coś mówiła.

Generał nie mógł spokojnie siedzieć. Chciał rozmawiać. Wspominał przeszłość. Z swego życia w byłym Petersburgu, opowiadał o wojnie. Mówił o synu. I smutnie dodał:

— Zamęczyli go bolszewicy. Zakłuli bagnietami. I kto? Jego żołnierze. Ci, którzy w czasie wojny tak go kochali.

Obtarł łzy.

Józef, przyniósłszy samowar, usiadł koło mnie i objął.

Marja Romanowna nie brała udziału w rozmowie. Jakby jej wszystko, co było wokoło, wydawało się obojętnem i obcem. Na twarzy jej nie odbijała się ani radość, ani uśmiech przy wspomnieniach przeszłości, ani smutek, kiedy przechodzono do rzeczywistości.

— Ty, papo, zmęczyłeś się?... Położyłbyś się...

Generał wypił jeszcze szklanek herbaty i pożegnawszy się z nami, poszedł do swego pokoju. Odprowadziła go Zinoczka.

— A my już spać nie będziemy. Niema gdzie, rzekł wesoło Józef. Posiedzimy, porozmawiamy. Tylko, państwo, ani generał, ani Zinoczka nie wiedzą tego, co nam jest wiadome. Zinoczka tylko domyśla się. A generał daleki jest od wszelkich podejrzeń.

— Paweł Wasiljewicz... Chociaż wiem, że pan nazywa się inaczej, lecz przywykłam do tego imienia... Powiem panu otwarcie. Pan mnie bardzo niepokoi.

— Czem, Marjo Romanowno?

— Umyślnie chcę o tem pomówić w obecności pańskiego brata.

— Tak... tak, Kola, Marja Romanowna ma słuszość.

— O co idzie, proszę państwa?

— Tyś, Kola chory. I to poważnie chory.

— Nie. Jestem zupełnie zdrow.

— Pan nie jest zdrow, Pawle Wasiljewiczu.

— Państwo! Napewno mówicie o moich atakach? Nie przykładam do nich wielkiej wagi. Uderzenia po głowie odbiły się na moim mózgu. Jeżeli chcecie, podobne to jest do kontuzji. I ja zauważyłem, że dość szybko wszystko idzie ku lep-

szemu. Nie mam nawet bólów głowy. Tylko nie kiedy jakoś dziwnie myśli moje się płaczą z wspomnieniami i snami.

— Pan często, nie spostrzegając tego, głośno wypowiada swe myśli, — wtrąciła Marja Romanowna.

— Tak, to się ze mną zdarza.

— Widzisz, Kola, pomimo to powinienes się leczyć. Odpocząć, jak należy. Uspokoić się. Ataki twoje mogą cię wydać.

— O, staram się uważać na siebie.

— Ot co. My natychmiast, w tej chwili koniecznie musimy zdecydować, co powinniśmy robić choćby w pierwszym miesiącu po naszym spotkaniu. To nie spisek. Obecnie, jak wszyscy wiemy, niemożliwe jest żadne wystąpienie. Marjo Romanowno, wiem, że pani w naszej wspólnej sprawie nie będzie brać żadnego udziału. Pani w nie nie jest wtajemniczona. I my pani nie wciągamy w nasze zamysły. Tylko jedno powinienem powiedzieć. Zrozumiałem, że i Koli i mnie brakuje jakiegoś bliskiego człowieka. On nie powinien kierować nami. Nie. To nasz przyjaciel. Myśmy powinni słyszeć czyjś głos. Ktoś powinien być z nami.

— Tak, Marjo Romanowno. Józef ma zupełną rację. On to dobrze rozumiał.

— Pani będzie wiedzieć wszystko. I oto pani głos, pani udział, jako przyjaciela, doda nam sił i pewności. Kola, bezwątpienia, jest chory. I to, czego ja nie mogę zrobić, niech pani robi.

— Dobrze. Ja tak i rozumiałam swoją rolę.

— Pani może w porę powstrzymać go od szalonego czynu. Pani może uspokoić mózg jego, który żyje nie sprawami bieżącymi, a przeszłością i przyszłością odrazu. I on sam nie może oddzie-

lić fantazji od rzeczywistości. Rozważmy, co robić?

Wróciła Zinoczka. Józef zamilkł. Zinoczka zrozumiała, że jest zbędną.

— Pani, Zinoczko, też by się położyła.

— Dobrze. Tylko nie na długo.

Odeszła.

Zacząła mówić Marja Romanowna.

— Ja się cośkolwiek domyślam. Czy zgadzam się z panami, czy nie, pozwólcie mi nie mówić. Lecz mówić prosto i szczerze z wami mogę. Mogę współczuć wam, jak ludziom. I tymczasem na tem poprzestaniemy. Czy nie tak?

— O tak. Tego tylko nam potrzeba.

— Na to, jak ułożyło się życie moje, nie będę wam skarżyć się. Sami panowie wszystko rozumiecie. Paweł Wasiljewicz napewno rozumiał wszystko, kiedy tylko po raz pierwszy zobaczył i męża mojego, i moją córkę. Lecz to głupstwo. To drobiazg. Gdy osobiste, to nic. Nic osobistego w życiu mojem nie powinno być. Lecz z tego wynikło coś wielkiego. To zmusiło mnie do spojrzenia prosto na życie. I ja, drogą długich rozmyślań, przyszedłam do nieoczekiwanego wniosku. Z tego życia muszę odejść.

Zatrzymała się. Popatrzała na nas obydwóch i lekko uśmiechnęła się.

— Panowie powiecie, żem spokój przełożyła nad walkę?

— Nie... nie, Marjo Romanowno... zaczynam panią rozumieć!

— Jakaż może być teraz walka? Oni mają wszystko, w pełnem znaczeniu tego słowa wszystko. Nieuświadomione wojsko, które drwiło z trupa wielkiego bohatera i patrioty Kornilowa, i przeszło na stronę Bronszteina-Trockiego, dla którego

Ruś została jego portfelem, a rosjanie oddanymi niewolnikami. Mają oni wszystką broń. W rękach swoich mają wszystkie bogactwa Rosji. Z czemżeż wystąpicie przeciwko nim?

O, my, kochający ojczyznę i ludzkość, posiadamy moc znacznie silniejszą od ich kartaczownic i bagnetów. Lecz nie jestem obłudną. Nie pójdę przeciwko nim z ikonami. Nie o to idzie. Oni opluwają nasze ikony.

Marja Romanowna pochyliła głowę. Na chwilę przestała mówić. Ramiona jej drgały.

— Ach, mam ja jeszcze w sobie dużo świeckiego. Jeszcze nie zupełnie umiem panować nad sobą.

— Niech pani mówi... niech pani mówi.

— My — kobiety, my — matki... Myśmy powinny usunąć się z tego życia. Myśmy powinny opuścić ich. I w tem nasza matka. Ludzie powiedzą: zapomniał o nas Bóg. I z pokutą pójdą do Niego. A ja wiem, że Ruś nasza stanie się samotną, kiedy z niej odejdą walki. Oni zabili tych, którzy kochali ojczyznę. Lecz matka pozostała. Czyż może żyć cały naród, kiedy wszyscy oni pozostaną bez matek. Powinnyśmy na pewien czas odejść, ażeby odkupić grzechy nasze, ażeby zahartować ciała nasze, oczyścić dusze nasze... Opuściłam swą rodzinę. Nie dla tego, że córka mnie biła. Nie dla tego, że mąż oddał wszystko, co miałam świętego, na służbę ciemnym mocom. I, zamiast człowieka, okazał się pustym worem. Poszłam od nich nie dla tego, że bolesnem dla mnie było patrzeć na nich. Nie. Odeszłam dla sprawy ogólnej. Umocniłam się w idei swojej, jaką dał mi pan... Pawle Wasiljewiczu.

— Ja?...

— 'Tak' Wtedy w cerkwi. Na pogrzebie księż-

niczki pan powiedział mi, że tylko matka może uratować Rosję... Pan znalazł to słowo, którego ja szukałam. Jakie to wszystko jasne. Jakie dobre. Ile w tem wielkiej prawdy. Nie opuściłam umierającego dziecięcia. Nie odeszłam od niego, ażeby znaleźć spokój osobisty. Nie. Ja tylko poszłam po lekarstwo dla chorego dziecka. I ono wyleczy je z tej trucizny, którą zatruwają jego duszę. Wyrzekłam się wszystkiego ziemskiego. Miłości ku córce...

Z niecierpliwością czekałam jeszcze słowa. Zatrzymała się. Czyżby mogła dodać... nawet pomyśleć. Powiedzieć jej czy nie:

— Miłości dla męża.

Nie. Ta wielka i mocna kobieta nie mogła nie widzieć, co wyobrażał swą osobą Fiedor Ignatjcz.

I naraz Marja Romanowna mocno zarumieniła się. Do łez. Widziałem, jak naraz zrobiło jej się ciężko...

— Mnie wstyd... moich omyłek w życiu.

Odpowiedziała mi na to pytanie, jakie błysnęło w mej głowie.

Wstyd było jej miłości dla męża, za bliskość z tym marnym człowiekiem.

— Obecnie nie cierpię. Nie mam ani żmartwień, ani radości. Nie mam rodziny. Nie mam nawet znajomych. Nikogo nie znam. Oprócz panów... Żeby nie wiem jak straszne rzeczy mówili mi panowie o córce, mężu. Ja tego nie słyszę. Jestem ślepa i głucha. Zaciągnęłam czarną zasłonę. Nie wiem, co tam jest. Wiem tylko, że my, matki, uciekłyśmy z tego życia. I wierzę... głęboko wierzę, że ta zasłona odchyli się, i my tam wejdziemy.

— Tak... tak... — zawołałem — i wszyscy zaśpiewają wam: Hosanna!

Wyjąłem obrazek, który znalazłem na ulicy i z którym nigdy nie rozstawałem się.

— Oto... oto to właśnie bolesne oblicze, które zwycięży wroga. Które ocali naszą ojczyznę. Modłę się do niego. Pochylam się przed niem... Patrzcie, w jej oczach niema smutku, nie ma przeżenienia, a tylko wielka boleść!..

Marja Romanowna spojrzała na mnie, z początku położyła rękę na mojem ramieniu, potem wolno przeciągnęła po moich włosach. Chciała uspokoić mnie.

Oprzytomniałem. Wziąłem jej rękę i pocałowałem. Przyłożyłem do policzka.

Brat wziął odemnie obrazek. Długo i uważnie patrzył na niego.

— I ja wam powiem: nie trzeba więcej krwi, my zwyciężymy to zło. Nie mogłam powstrzymać córki od jej pierwszego błędu i nie mogę obecnie jej uratować. Spada coraz niżej i niżej. Nadejdzie czas, kiedy ona zawezwie mnie... Tak i nasza ojczyzna.

Józef niepokoił się. Z początku słuchał Marji Romanowny. Bardzo uważnie. Uperczywie patrzył jej w oczy, jakby badał ją, chciał zapamiętać, jak ona i z jakim wyrazem twarzy wygłasza każde słowo. Niekiedy kierował wzrok na mnie. Patrzył niespokojnie. I domyślałem się, że obawiał się, ażeby ten temat nie wywołał u mnie ataku. Niekiedy chciał przerwać płynną i cichą mowę Marji Romanowny i powiedzieć swoje zdanie. Z niecierpliwości chwycił za poręcz krzesła. Widać było, z jaką siłą ją ścisnął. Wreszcie, doczekał się tej chwili, kiedy i on mógł powiedzieć swoje zdanie.

— Marjo Romanowno!... A ty Kola, milcz... Ty słuchaj. Dobrze? I ja cię bardzo proszę, nie denerwuj się. A to znów zaczniesz mówić... I nie to, jak to często się zdarza.. Więc będziesz milczeć? Ach, Kola, ja ciebie strasznie kocham. I Marję Romanownę. Żeby tylko nie rozbudzić generała i Zinoczki. Ot co. Usiądę przy Marji Romanownie.

Przysunął krzesło do Marji Romanowny i usiadł przy niej bardzo blisko.

— Niech pani mnie powstrzymuje... I uważa na Kolę. Ot tak, znakomicie. Wie pani co? Niech pani pije herbatę? Doprawdy. To jakby uspakajało, kiedy ktokolwiek pije herbatę. Łyzeczka dzwoni, i здае się, że siedzisz wśród cichej i spokojnej rodziny.

Wtedy i dzieci wiedzą, że im dokazywać nie należy...

— To... to... Niech pani słucha, Marjo Romanowno. Ja z panią zgadzam się w zupełności. W myślach pani dużo i rozumu, i serca. Nie nadarmo panią tak szczerze i gorąco pokochał Kola.

Zamarłem. Co on mówi? Jeżeli go zatrzymam, znaczy się słowu „pokochał“ nadam specjalne znaczenie. Niech ona prześlizgnie się w zdaniach jego, jak słowo „przyjaźń“.

— Nie będę nawet z panią się spierać. Wszystko, co pani powiedziała, jest tak jasne i proste, że i zaprzeczyć nie można. To dla mnie nowe. To, co pani mówiła... Lecz dziwne... nadzwyczaj dziwne... Teraz wydaje mi się, że o tem zawsze myślałem... Lecz powiem o sobie, o Koli. A jaką jest nasza rola? Jaka? Mamy złożyć ręce i spokojnie patrzeć, co się dzieje. Ot nie dziś, jutro poprowadzą naszego czcigodnego generała na rozstrzelanie, a ja będę, w milczeniu, tu siedzieć?..

Nie... Ja tak nie mogę! Nie mogę!... Ja wiele razy miałem okazję do ucieczki z Rosji. Ja, były oficer, miałem rzucić w ręce bolszewików tych, kto im się nie sprzedał... Nie, Marjo Romanowno... To niemożliwe... Uważam, że każda minuta w mem życiu jest przestępstwem. Powinienem przerwać tą bachanalję, ten hymn nad trupem ojczyzny...

Józef mówił gorąco. Z przerwami. Często w porywie, odbiegał od tematu. Przebiegał od jednego do drugiego.

— Pani mówi: nie trzeba krwi. A przecież teraz jej nie może być. Zabijcie tylko dwóch, trzech łajdaków, którzy zasiedli na tronie carskim, i cały gmach odrazu runie... Z nich nie krew pocieknie, a przegniła wilgoć, którą zaraz zliżą psy i zdziobią kruki... Krwi nie będzie.

— Cud... cud będzie. Wszyscy zobaczą, że kłaniali się nie ludziom, którzy stali się dla nich wielkimi genjuszami, a plugastwu, które przybrało kształt ludzki...

— Kola, nie przerywaj. Jeżeli nikt z nich, ani nasze oficerstwo, ani nasza szlachta, ani nasi włościanie nie wystąpili w obronie cara, kiedy go zabijali, ani cerkwi, które burzyli i bezcześcili w oczach ludu, to myśmy nie powinni razem z nimi kłaść wszystko, co było dla nas drogiem. Niech my jedni. Lecz my powinniśmy... to nasz obowiązek, to nasze życie. Obowiązani jesteśmy spędzić z tronu diabła... I przysięgam, że jeżeli tylko życie oszczędzi mnie, oto tą ręką wrzucę do śmietnika któregośkolwiek z tych łotrów.

— I ja przysięgam. Niechaj pozostaniemy sami. Dla nas nie jest to straszne. Pewien jestem, że jeżeli nas zaraz wytrącą z pierwszych szeregów, to za nami powstaną inni... I my, Marjo Ro-

manewno, odchyliłmy tą czarną zasłonę, o której pani mówiła i zawezwiemy panią...

— I ja z wami!

Podnieśliśmy głowy. W drzwiach stała Zinoczka.

— Nie gniewajcie się. Nie podsłuchiwałam. Nie mogłam spać i wszystko słyszałam.

Zamilkliśmy.

Nadchodziło już rano. Na szybach okien ukazywały się niezwykle delikatne odblaski to różowej, to błękitnej barwy. Zinoczka zajrzała do pokoju ojca.

— Śpi mocno.

Zdecydowaliśmy, co mamy robić i gdzie iść. Marja Romanowna powiedziała, że uda się do siebie, do klasztoru.

— W piątki mogę wychodzić. Pozwolili mi.

Wtedy umówiliśmy się, że będziemy spotykać się u Zinoczki w piątki. Jeżeli by zaszło coś bardzo ważnego, dostanę notatkę.

I Józef i Marja Romanowna wzięli ode mnie słowo, że będą wyłącznie myśleć o swoim zdrowiu. Jak dawniej będę się zajmować pracą fizyczną, to jest rąbać drzewo, pracować w ogrodzie i t. d., i grać wieczorami u marynarzy i wogóle tam, gdzie zaproszą. Pozostałe wszystko bierze na siebie Józef. Obmyśli cały plan naszych działań i tylko wtedy będzie się ze mną naradzać, kiedy się pozbędzie ataków. One, zdaniem jego, mogą zgubić całą sprawę.

Wyszedłem pierwszy. Trzeba było mi się wyspać, gdyż miałem przed sobą noc bezsenność. Granie na balu u marynarzy.

Obudziłem się akurat w porę. Na obiad. Zdążyłem umyć się, oczyścić. Zrobiłem pewien porządek w domu. Niania nie zdążyła wszystko zro-

bić. Zaszedłem na minutę do ojca Aleksandra Powinszować świąt. Przy obiedzie rozmawialiśmy spokojnie na tematy obojętne.

Pociągnęło mnie na powietrze. Wyszedłem do ogrodu. Zabrałem z sobą Filkę. Patrzałem na publiczność świąteczną. Porównywałem ją z tą, która dawniej zapełniała w pierwszy dzień Wielkanocy ogrody i ulice.

— Mam zaszczyt klaniać się!..

Podniosłem głowę. Przede mną stał jegomość nieokreślonego wieku. Twarz jakby znajoma. Nie. Omyliłem się. Widzę go po raz pierwszy. Chuda twarz z rozczesaną brodą. Ubrany był w zupełności po świątecznemu. Lecz tak barwnie, że przypominał sobą papugę lub koguta. Żółte palto letnie, bżowe rękawiczki, jakieś błękitne getry. Liljowa marynarka. kamizelka z czerwona obwódka, spodnie niebieskie i krawat w czerwone kwiaty.

Nieznajomy pan uchylił kapelusz.

— Pozwoli pan usiąść obok siebie?

— Proszę bardzo.

— A ja w rzeczywistości do pana szedłem... Chciałem pana odwiedzić w taki dzień... Jakżeż? Przedewszystkiem pomyślałem o panu. Przyjaciele przyjaciółmi, a zawsze należy pamiętać o przyzwoitości.

— Lecz kto to taki? — myślałem, patrząc na dziwnego jegomościa.

— Kiedy już do mnie, to proszę uprzejmie. Wyszedłem tylko odetchnąć świeżem powietrzem.

— O. niech się pan nie niepokoi... proszę bardzo. Będziemy uważać to za to, że byłem u pana z wizytą.

Ani na chwile nie odrywałem wzroku od sąsiada.

— Pan odpoczywa?...

— Tak.

— Bardzo przyjemne zajęcie...

Zamilkł, potem jakoś krzyknął... Pisał, zupełnie, jakby mu przyszła niezwykle genialna myśl.

— Powiedzcie... Pan jest zupełnie wolnym człowiekiem?

— Zupełnie... Tylko wieczorami jestem zajęty.

— Tak. Oto co ja panu wobec tego proponuję. Czy nie zechciałby pan ze mną odbyć małej podróży?

— Gdzie?

— Niedaleko. Tylko po Petersburgu lub jak teraz mówią po Petrogradzie. O, pokazał bym panu takie rzeczy godne uwagi... Pan nawet nie wie, czym się on stał przez te lata... Ja wszystko wiem... wszystko...

Gdy tylko odwróciłem się, odrazu zrozumiałem, kto był ze mną...

Mój mieszcuch.

O dalszych losach naszych bohaterów P. T. Czytelnik dowie się w książce p. t. „Ostatni dzień”.

